

**ambitne
kółko
na mapie**
przyłączyć Piąt-
nicę do
Łomży czy
odwrotnie **14**



**kontakciki
magazyn
dla dzieci**
bajki opowieści
i wieści
zagadki **7-10**



**białe
kruki
w potrzasku**
czy handel
książkami
może być rentowny **12**

KONTAKTY

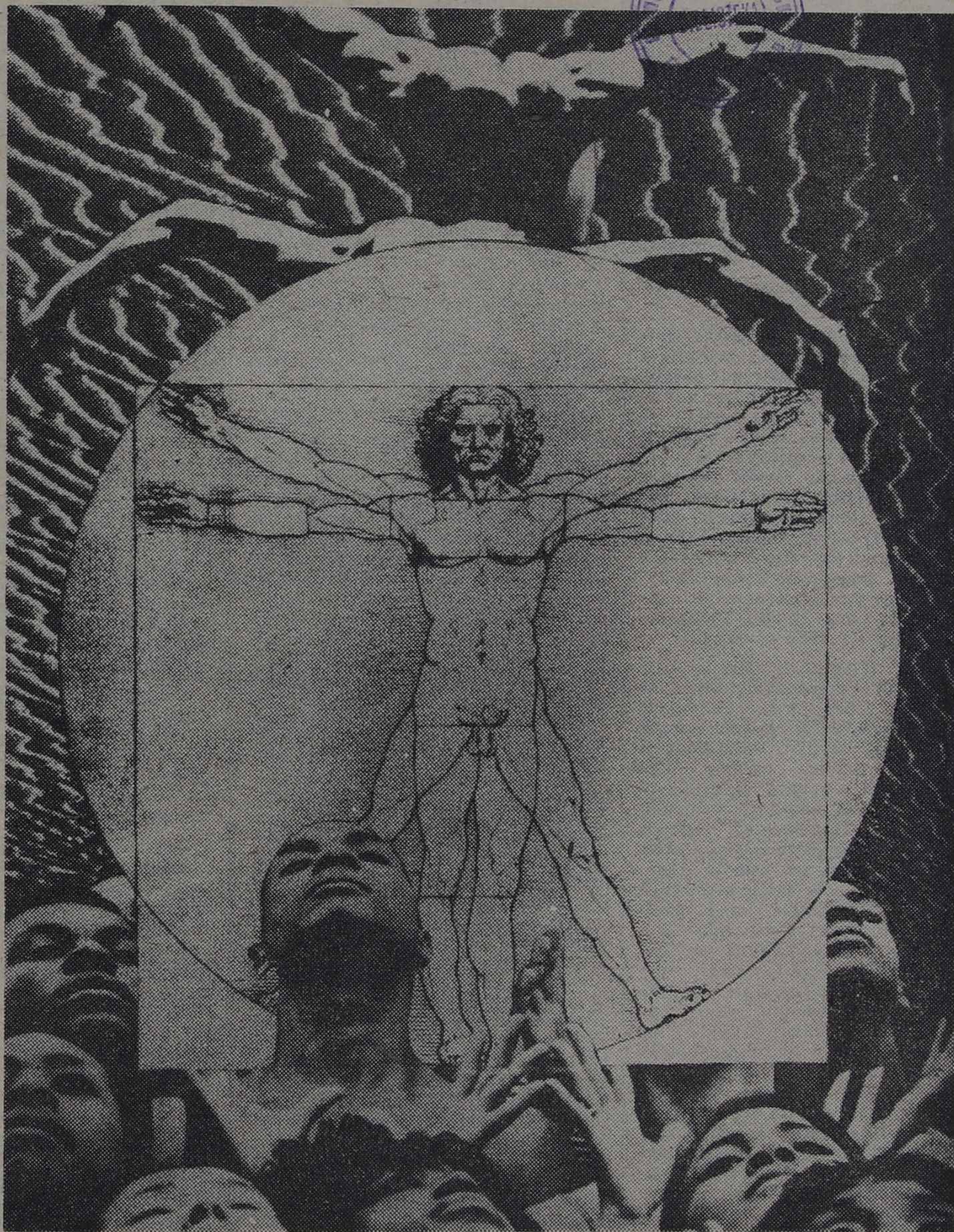
ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

22

(98)

KONTAKTY
29 VIII 1982

Cena 12 zł



Fot. JÓZEF LIEBERSBACH

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

adiutant

Jego Biurokratyczności

Nazywa się ich różnie: grupa interesu, koteria, klika. Nie występują pod żadnym wspólnym szyldem, łączą ich z reguły więzy nieformalne — przyjaźń z ławy szkolnej, wspólne ubawy na studiach, pokrewieństwo, jakieś tam zobowiązania, po-krzepiająca świadomość tego, że nie samemu ma się brudne ręce, czasem strach przed sobą. Okazję stwarza zazwyczaj przypadek, zdarza się — także określona potrzeba. Grupa interesu (koteria, klika) nie respektuje podziałów instytucjonalnych, administracyjnych, profesjonalnych, chociaż, trzeba przyznać, szczególnie w fazie początkowej, bardzo często korzysta z gotowych, „znajomych” struktur. A więc oświata trzyma z oświatą, służba zdrowia ze służbą zdrowia itd., nie mówiąc już o tak raczkujących i niemal bawianych formach, jak np. porozumienie pracowników administracji przed-szkola, czy zamach na pęto kielbasy kucharek jadłodajni. Szanująca się i dobrze prosperująca koteria sięga zwykle rozległej, obwarowuje się i ubezpiecza od każdej biedy, wykazując kapitalną wręcz zdolność adaptacyjną. Nie bez przyczyny zresztą, zważywszy na cel, lub cele, które jej przyświecają. A mogą być one różne, tak jak różne są ludzkie aspiracje. Od wspomnianego pęta kielbasy po stół, taką czy inną formę władzy. Klika rządzi świadomością wspólnoty grzechów. Nakłada to na jej członków obowiązek wspierania się w każdej sytuacji. Można doskonale żyć bez świadomości jej istnienia, z chwilą jednak, kiedy — celowo lub przypadkiem — zaatakuje się „kogoś z nich”, natychmiast poznaje się siłę i skuteczność jej wewnętrznej solidarności. Samotna walka z góry skazana jest w takim wypadku na niepowodzenie, chyba że chodzi w niej o osiągnięcie efektu stołu i no-życ. Uderzmy, a zobaczymy kto się odezwie. To może być kształcące.

Do koterii nie należy się za frieco. Trzeba jej mieć coś do zaferowania. „Zakrapiane” bankiety, interesujące znajomości, polowania w rezerwacie. Dobrą pozycję można „ku-pić”. Chociażby poprzez sprawowa-nie pewnych nieformalnych funkcji. Np. „adiutanta żywnościowego”.

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

polski dylemat

**urealnić marzenia
—ulepszyć praktykę**

JÓZEF TEICHMA

Po dość długiej przerwie wracamy do publikowania wypowiedzi w cyklu „Polski dylemat — nadzieje i zwątpienia”. Cezura, jaka nastąpiła od grudnia ub. roku nie wymaga tłumaczenia, uznaliśmy jednak, że nastał czas, w którym tego rodzaju refleksje, w powracającym ułożeniu życia publicznego, mają odpowiednie do jej upowszechniania warunki.

W kilkudziesięciu prezentowanych na naszych łamach artykułach wypowiadali się filozofowie, pisarze, ekonomiści, politycy, publicyści oraz naukowcy różnych specjalności. Chcemy kontynuować owe — przekazywane poprzez pryzmat osobistych przemyśleń — „Polaków rozmowy”, w odmienionych perspektywach naszego kraju. Dziś wypowiedź Józefa Teichmy, ministra Kultury i Sztuki.

STR. 3

nadzieje i zwątpienia

W NASTĘPNYM NUMERZE: m.in. „Na bruku” i „Na klęczkach” — reportaże o poczynaniach dwu łomżyńskich rodzin żyjących w fatalnych warunkach mieszkaniowych, „Tu pomaga się szczęściu” — o planach rozwojowych Zambrowa, „Kraj szaleje w naprawie”, czyli propozycje zmian w naszym kraju sprzed 11 lat, „Drogi reformatorze”, czyli niepokoje dyrektorki wdrażającej reformę w swoim zakładzie oraz ciekawostki: „Porady matrymonialne dla Panny”, „Perfect ale tylko na 50 procent” — o występach znanego zespołu.

Z PRAC KOMITETU Wojewódzkiego PZPR. Sekretariat pozytywnie ocenił stan przygotowań łomżyńskiej oświaty do nowego roku szkolnego; członkowie Sekretariatu wezmą udział w uroczystych inauguracjach oraz naradach nauczycieli w zespołach problemowych dotyczących prowadzenia zajęć z przedmiotów społeczno-politycznych. Sekretarze szkolnych POP odbędą naradę poświęconą węzłowym problemom wychowawczym w bieżącym roku szkolnym. Trwają przygotowania Komitetu do wrześniowego posiedzenia plenarnego, które podsumuje realizację zadań łomżyńskiej instancji partyjnej, zainspirowanych przez VII i VIII Plenum KC — Wydział Ekonomiczny podsumuje realizację podjętych inicjatyw. Wydział Rolny zajął się problematyką skupu zboża i mleka (w spółdzielniach rolniczych odbywają się zebrania pracowników poświęconych temu zagadnieniu), przygotowuje również informację o stanie łomżyńskiej oświaty rolniczej, której problemem będzie również poświęcone wrześniowe plenum. Wydział Administracyjny przeprowadził już konsultacje w większych ośrodkach zdrowia na temat projektu zmian w funkcjonowaniu opieki zdrowotnej. Rozmowy poświęcone temu zagadnieniu odbywają się jeszcze w środowisku wiejskim. Wydział Propagandy i Agitacji po raz drugi — tym razem kompleksowo i z rozliczeniem wszystkich odpowiedzialnych za przygotowanie — podsumowuje akcję „Lato 82”. Wkrótce — obchody 43 rocznicy napadów Niemiec hitlerowskich na Polskę. W państwie polskim musi być spokój, bo każde osłabienie go zbyt drogo kosztuje naród i Europę — oto idea przewodnia tegorocznych uroczystości. Zbliża się także 38 rocznica wyzwolenia Łomży spod okupacji faszystowskiej. Z tej okazji na mogiłach poległych w obronie i wyzwoleniu miasta złożone zostaną wieńce i wiązanki kwiatów, odbędą się spotkania z weteranami walk 1939—1945. Przygotowane są materiały do biuletynu informacyjnego o działalności Obywatelskich Komitetów Odrodzenia Narodowego. W najbliższym czasie odbędzie się spotkanie przedstawicieli tychże komitetów i partii politycznych. Komisja Współdziałania PZPR, ZSL i SD uzgadnia, wypracowuje wspólne stanowisko w przygotowaniu obchodów 100-lecia ruchu robotniczego, wyboru ławników ludowych i członków kolegiów ds. wykroczeń.

KOMISJA DS. POLITYKI GOSPODARCZEJ KM PZPR w Łomży podsumowuje realizację wniosków i postulatów POP i załóg pracy. Trwają przygotowania do posiedzenia Egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR poświęconego przyczynom niedowładu łomżyńskiego handlu i usług oraz sposobom ich ożywienia. Tematem dyskusji będzie również ład, porządek i bezpieczeństwo mieszkańców, ponieważ w ostatnim okresie zauważalnie wzrosła liczba okradania mieszkań, piwnic. Ponadto: artykuły z zakładów pracy trafiają na czarny rynek, mało estetycznie wygląda miasto: chwasty w prywatnych posesjach wyżej płotów, bałagan na placach budów.

POKONTROLNE SPOSTRZEŻENIA Wojskowej Inspekcji Komisarzy w geosowskich sklepach: powszechny brak przetworów zbożowych i artykułów mącznych, nawet kaszy jęczmiennej i gryczanej, płatków, a także napojów chłodzących, herbaty, serów żółtych, cukierków i drożdży. Nie ma żadnych zamienników alkoholu na kawę czy cukierki. Beznadziejny asortyment papierosów na kartki; zupełny deficyt obuwia, materiałów piśmiennych i szkolnych; kompletny niedostatek prostego sprzętu gospodarskiego: wiader, widel, łańcuchów i gwoździ. Wędliny li tylko na kartkach, kłopoty z wykupieniem cukru. W Szepietowie na 14 sklepów w 11 brak mięsa i jakich-

kolwiek jego przetworów. W Zbójnej na 8 sklepów 3 zamknięte na cztery spusty, a ich jednoosobowy personel — na urlopie. We wszystkich kontrolowanych placówkach geosowskiego handlu zupełnie obce są takie pojęcia, jak porządek w pomieszczeniach socjalnych i choćby minimalne ich wyposażenie, jakiegokolwiek zabezpieczenie przeciwpożarowe.

W MAGAZYNACH GS-u: w rutkowskim magazynie w gminie Zawady — zdekompletowane laboratorium do badania wilgotności zboża, a pracownik tegoż obiektu, Józef Mroczkowski rozpoczyna pracę dopiero o godzinie 9.30 — w stanie nieatrakcyjnym; brak jakiegokolwiek informacji o godzinach otwarcia tejsze placówki. Wojewódzki Związek Spółdzielni Rolniczych zaopatrzył Szumowo tylko w dwie tony miału węglowego.

W magazynach WZSR-u identyczny rozgardiasz jako i „na dole”: nieaktualne już od kilku lat wagi, beznadziejne zaopatrzenie w widły, młotki i kosy. Ponoć „czynili starania drogą telefoniczną”, lecz na to nie mają żadnego potwierdzenia.

W składnicach maszyn: 56 ciągników różnego typu rozebranych na części, 45 rozsiewaczy do nawozów, 90 ciągnikowych siewników, 234 plugi dwuskibowe, 282 brony. Prawie żadnych dostaw materiałów budowlanych.

Piekarnia WSS-u w Łomży przy ulicy Świerczewskiego zajmuje 1 miejsce w województwie pod względem niechlujstwa i bałaganu: w magazynie porozsypana mąka, po betonie rozrzucona margaryna, w pomieszczeniach socjalnych w podreżnych szafkach: bułki razem z butami i butelkami po alkoholu. We wszystkich kontrolowanych piekarniach: życie na bakier z ppoż. i bhp oraz higieną, wielokrotnie przypadki przechowywania artykułów spożywczych razem ze smarami; okna bez szyb. Piekarnie GS-u lepsze od WSS-owskich.

KONIEC WAKACJI. Już za kilka dni 9718 przedszkolaków z 58 przedszkoli i 335 klas zerowych, 46 700 uczniów szkół podstawowych oraz 9535 — szkół zawodowych, techników i liceów, wspólnie z 4260 nauczycielami powita w łomżyńskim nowym roku szkolnym. Szczególnie uroczyste inauguracje odbędą się: w oddanym do użytku kompleksie szkolnym na osiedlu „Jantar” w Łomży, w Gminnej Szkole Zbiorecznej w Grabowie oraz Politechnicznym Studium Nauczania Początkowego, utworzonym w budynku Szkoły Podstawowej przy ul. Rybaki w stolicy województwa. Dzięki gospodarskiemu pomyślni — nowo powstałe obiekty szkolne (na osiedlu „Jantar” i w Grabowie) przyjmują uczniów o rok wcześniej niż planowano; w ciągu roku do budowane zostanie zaplecze socjalne. Wszystkie stare autokary dowożące dzieci do szkół wymienione są na nowe Jeleze. Do wielu szkolnych pojazdów brakuje akumulatorów i ogumienia. Remonty na ukończeniu lub dobiegają końca, lecz tempo budowy gminnych domów nauczycieli w Bogutach, Piekutach, Miastkowie i Nurze nadal żółwie. WZSR na trzy z minusem wywiązuje się z reglamentacji zeszytów i przyborów szkolnych dla dzieci wiejskich. Zdecydowana większość szkół ma już węgiel na zimę. Kuratorium Oświaty i Wychowania

placi w tym roku SKR-om tylko za godziny dowożenia dzieci na lekcje. W bursach i internatach znajduje miejsce prawie jedna trzecia uczniów. Na wniosek Komitetu Wojewódzkiego PZPR Państwowy Ośrodek Maszynowy w Łomży przeznacza na internat budynek Ośrodka Doskonalenia Mechanizatorów Rolnictwa. Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej pragnie przyjąć z pomocą każdemu dojeżdżającemu do szkoły uczniowi — organizuje biura pośredniczące w wynajmie kwaterunkowym. Poszukujący i chętni do odstąpienia swego pokoju lub więcej, proszeni są o zgłaszanie się do Zarządów Miejsko-Gminnych ZSMP w Kolnie, Wysokiem Mazowieckiem, Grajewie, Zambrowie oraz do Zarządu Miejskiego w Łomży.

NA WNIOSEK PEŁNOMOCENIKA Komitetu Obrony Kraju na województwo łomżyńskie, płk. Kazimierza Jaronia, Komisja Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej pod kierownictwem pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju przy Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej dokonała inspekcji obiektów Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży: w izbach chorych czystiej niż w gabinetach lekarskich, pomieszczeniach pielęgniarek oddziałowych, a nawet w kuchni i pralni. Najwyraźniej od ogólnej estetyki odstaje oddział zakazny — za dużo odwiedzin i nieporządku. Niewielka poprawa od czasu pierwszej inspekcji komisarzy.

WOJEWÓDZKA SPÓŁDZIELNIA OGRODNICZO - PSZCZELARSKA skupiła w tym sezonie 870 ton truskawek, 1100 ton porzeczek czarnej oraz 250 — czerwonej. Pomimo reformy z trzema „esami” z owocami w sklepach gorzej niż krucho. Najładniejsze są ceny, bo płacimy jak za złote jabłka, a jabłka — pożałujcie Panie Prezesie — bez żadnego wyboru, jakby z wielkiej łaski, że w ogóle są.

POPARCIE SZLACHETNEJ INICJATYWY. Kadra oficerska WP, komendanci hufców, wychowawcy, pracownicy etatowi Komendy Wojewódzkiej oraz junacy zgrupowania w oddziałach OHP stacjonujący na terenie woj. łomżyńskiego zadeklarowali bezpośrednią pomoc finansową na budowę pomnika matki Polki wpłacając wypracowane dodatkowo fundusze pieniężne na konto NBP z inicjatywy zastępcy Komendanta Wojewódzkiego ds. szkolenia obronnego oraz Rady Hufców 22-3 i 22-4 podjęte zostały uchwały, w których czytamy: „My junacy Ochotniczych Hufców Pracy woj. łomżyńskiego, wyrażamy gorące poparcie dla idei budowy Pomnika Matki-Polki będącego hołdem złożonym wszystkim kobietom. Pomnik ten będzie wyrazem wdzięczności i hołdem dla tych, które w czasie drugiej wojny światowej straciły swych najbliższych: dla tych, które na równi z mężczyznami w trudzie i znoju odbudowywały nasz kraj ze zniszczeń wojennych, dla tych, które mimo przeciwności losu i na przekór burzliwym wydarzeniom wstrząsającym naszym krajem sprawiają, że nasz dom rodzinny jest spokojny i bezpieczny. Uważamy, że pomnik ten będzie tylko skromnym zadośćuczynieniem za bezmiar ofiarności i poświęcenia kobiet, za trud włożony w wychowanie młodego pokolenia. [...] Apelujemy do wszystkich OHP. Oddziałów Obrony Cywilnej w OHP, kadry etatowej na terenie kraju, o poparcie w różnych formach idei budowy POMNIKA MATKI-POLKI”. Przekazana została także pierwsza wpłata — 10 735,30 zł na konto NBP VI O/M WARSZAWA 1065-1094-130-2.

Redagowanie „Zdarzeń” — STANISŁAW ZIELIŃSKI

punkt widzenia

Ostatnie dni wakacji zawsze przepełnione są myślami o nadchodzącym roku szkolnym. Dzieci martwią się o przybory szkolne i podręczniki. Troska uzasadniona: o ile WPHW potrafiło zaopatrzyć swoje sklepy w miastach, a nawet przekazać WZSR pokątną partię zeszytów na rynek wiejski, to ten ostatni woli przetrzymać je w swoich magazynach. W czerwcu szkoły podstawowe zgromadziły zaledwie 60 procent potrzebnych podręczników (nowych i używanych), 4 sierpnia dotarła do Łomży partia książek do liceów i techników, a po 15 sierpnia spodziewano się następnych dostaw. Dotychczas brak podręczników do klas piątych, szkół zawodowych oraz do historii i wychowania obywatelskiego — w przedmiotach tych wprowadza się bowiem zmiany programowe.

Jak co roku, brakuje wykwalifikowanych nauczycieli, szczególnie do pracy w małych szkołach wiejskich. Na 204 oferty odpowiedziało jedynie 64 chętnych. Pozostałe 140 miejsc zostają obsadzone niemal wyłącznie młodymi maturzystami bez kwalifikacji. W ub. roku takich osób przyjęto aż 576 — ukończyły one już roczny kurs pedagogiczny. Kurs daje wprowadzić uprawnienia, ale czy faktycznie — kwalifikacje? Temat zasadności likwidacji liceów pedagogicznych wraca przy takich okazjach jak bumerang. Otwierane w tym roku w Łomży dwuletnie Studium Nauczania Początkowego, wraz z istniejącym już Studium Wychowania Przedszkolnego, w znacznym stopniu złagodzi w przyszłości problem kadry w przedszkolach i szkołach podstawowych.

Kuratorium Oświaty i Wychowania jest dumne z faktu, że jedynie w naszym województwie udało się stworzyć wystarczającą ilość miejsc w przedszkolach: na 4852 podania złożone w tym roku, z różnych względów odrzucono tylko siedemnaście. Moim zdaniem radość będzie krótka, gdy już dziś nie pomyślimy o następnych przedszkolach na łomżyńskim osiedlu „Jantar”, gdzie istniejące przedszkole są już przepełnione, a nowych mieszkańców przecież przybywa.

Kuratorium przewiduje też, że wszystkie remonty zostaną zakończone przed 1 września. Będą natomiast kontynuowane niektóre remonty kapitalne, lecz ich przebieg nie będzie zakłócał procesu dydaktycznego.

Rodzice dzieci z klas I—IV na „Jantarze” z zaniepokojeniem obserwują postęp prac przy budowie nowej szkoły. Władze szkolne i budowlane zapewniają, że 1 września będzie gotowa. Moja wizyta na dwa tygodnie przed pierwszym dzwonkiem nie nastrajała jednak optymistycznie. Oddane wprawdzie pierwszy segment, ale pozostały jeszcze dwa inne. Tymczasem brakuje 800 metrów kabla elektrycznego, płytek i wykładziny PCV, klejów... Trudno też o dobrych malarzy. Jeśli do roboty zgłaszają się tacy, którzy potrafią jedynie trzymać pędzel w ręce, malowanie trzeba potem powtórzyć.

Ponieważ w Polsce — nie wiadomo dlaczego — nie ma бригад wyspecjalizowanych w porządkowaniu i zagospodarowywaniu obiektów, kierownictwo budowy z konieczności przesuwają do tych prac swoich fachowców, co bynajmniej nie przyspiesza robót budowlanych i wykonawczych. Wprawdzie kilka razy pomogło ROMO, czasem — pojedynczo zgłaszają się jacyś rodzice, lecz ochotników do społecznej pracy jest niewiele.

Młodzi z OHP deklarowali swą pomoc po południu, lecz w dniu, gdy o 18.00 odwiedziłam budowę, było tam cicho, smutnie i nie spotkałam nawet stróża. Teren nie jest nawet ogrodzony, materiałów budowlanych sporo, a przyszłowie „okazja czyni złodzieja” aż kusi do urzeczywistnienia.

Dyrekcja i nauczyciele szkoły czekają jednak z ufnością i nadzieją na pomoc rodziców w zagospodarowywaniu szkoły.

zdanie tygodnia

Nie sztuka płynąć z prądem w czystej wodzie, ale sztuka płynąć pod prąd — w brudach.
Józef Jagiełło, prezes Zarządu Kółka Rolniczego w Czarkówce Małej w gminie Perlejewo.

myśl z atestem

Prawdy nie da się osiągnąć, można ją tylko zdobywać.

Picasso



Sądzę, że swoją wypowiedź w Waszej ankiecie zacząć muszę od bardzo osobistej refleksji.

Nie dostałem się na szczyt życia politycznego nagle. Moja droga była raczej bardzo długa i stopniowa. Mam na myśli przede wszystkim działalność w ruchu młodzieżowym, na wszystkich jego poziomach, i działalność polityczną, państwową, partyjną na różnych szczeblach, łącznie ze szczyblem najwyższym, ogólnopolskim. Działalność, która — można powiedzieć — trwała, czy nawet trwa dość długo, w naszych warunkach nawet bardzo długo. I jeśli dzisiaj w sensie formalnym jestem niżej usytuowany politycznie, niż byłem kilka lat temu, bo tak jest, to mogę odnotować fakt, który ma znaczenie nie tylko osobiste, ale i ogólne: że również to obniżenie mojego miejsca w hierarchii polityczno-społecznej nie przyszło nagle, ale stopniowo. Notuję to zjawisko między innymi dlatego, że nie rzadkie są przypadki nagłego odejścia z najwyższego szczebla i całkowitego zapomnienia o odchodzących. I są to dramaty — sprawy niezwykle trudne dla polityków, a nawet niepożądane z punktu widzenia kultury państwowej, politycznej. W tym sensie traktowałbym moją dotychczasową biografię jako stosunkowo szczególnie gładki bieg rzeczy. Natomiast powrót do tego samego miejsca, do resortu kultury, jak wszystkie powroty tego typu, nie jest najbardziej szczęśliwy.

Zastanawiałem się wielokrotnie, czy istnieje dylemat Józefa Tejchmy? Oczywiście, że istnieje. Mój dylemat jest jednocześnie osobisty i ogólny, gdyż moja biografia nie była wyizolowana z życia społecznego, państwowego, partyjnego. Wszystkie fluktuacje naszego życia powojennego były fluktuacjami mojej biografii, wszystkie sukcesy ogólne — moimi sukcesami, wszystkie klęski — moimi klęskami. To nie przesada, to jest fakt związany z moją rolą zawodowego polityka od wielu, wielu lat. Mój dylemat polega na tym, czy uczyniłem wszystko, aby przeciwdziałać kryzysom i czy uczyniłem wszystko, aby wykorzystać maksymalnie szansę rozwoju Polski, gdyż miałem na to wpływ. Nie mogę odpowiedzieć jednoznacznie na to pytanie. I to jest mój główny dylemat. Jest to także problem nadziei, z którymi wchodziłem w życie i które odnawiałem na każdym etapie naszego rozwoju i rozczarowań, które przeżywałem w okresie kryzysów. To jest właśnie ta jedna z ważniejszych kwestii osobistych, ponieważ nie mam innej biografii i nie mam alternatywy dla swojej działalności, muszę pozostawać w przekonaniu, że polskie problemy zostaną rozwiązane i będę uczestniczył w ich rozwiązywaniu gdziekolwiek, aby tylko bardziej skutecznie i mając na uwadze ogólne i swoje osobiste doświadczenia.

Całe dotychczasowe doświadczenie powojenne nasuwa obserwatorowi naszego życia, a zwłaszcza jego uczestnikowi, istnienie pewnych sprzeczności, które są trudne do rozwiązania, a które rozwiklane być muszą — trudno sobie inaczej wyobrazić dalszą przyszłość. Próba zewidencjonowania tych trudnych problemów mogłaby iść kilkoma torami.

Po pierwsze, jest to ogólnie dostrzegany problem stosunku idei do praktyki. To najbardziej chyba ewidentna, odczuwana powszechnie nie tylko w kręgach intelektualnych, inteligentnych kwestia — czy jest możliwa wierność ideałom, jakie leżą u podstaw Polski Ludowej, przy równoczesnym rozgoryczeniu złą praktyką, która tyle razy dochodziła do głosu i była źródłem naszych kryzysów. Uważam, że jest to autentyczny problem i w nim należy szukać źródeł wątpliwości; wielu ludzi rozczarowało się w sposób istotny, albo i ostateczny, do możliwości kształtowania rzeczywistości zgodnie z założeniami ideowymi, z programem przyjętym tuż po wojnie.

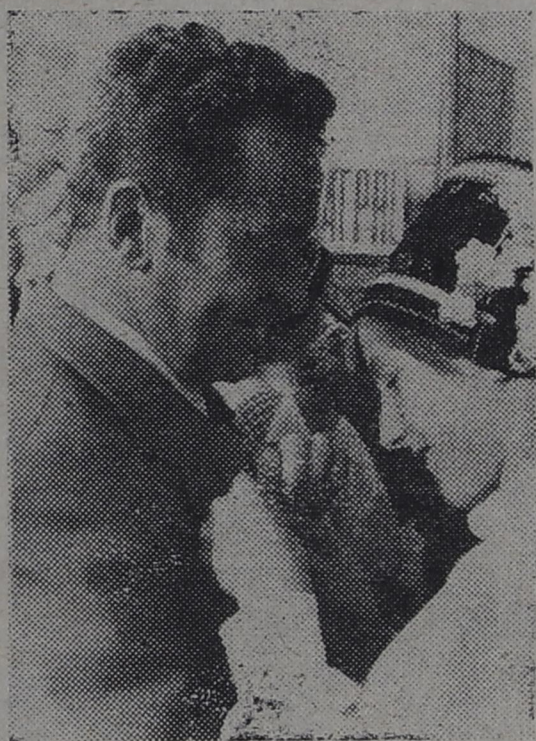
Jeśli tak właśnie sformułować ten dylemat, to trzeba nie tylko dostrzec, że on istnieje, ale starać się równocześnie szukać kierunków rozwiązań. Należę do tych, którzy uważają, że rozwiązania te z pewnością istnieją, muszą istnieć.

Osobiście widziałbym je w dwóch płaszczyznach. Pierwsza to urealnienie idei, oczyszczenie jej z nadmiaru utopijności. Druga — równocześnie udoskonalenie praktyki realizacyjnej wobec idei, wobec planu, który jest przyjęty. Taki dwukierunkowy wysiłek intelektualny i pragmatyczny może zbliżyć ten wyobrażony wizerunek do Polski rzeczywistej. Albo odwrotnie — zbliżyć Polskę rzeczywistą do wyobrażonej, tej zaplanowanej.

Co to znaczy urealnienie idei? Jest to zabieg przede wszystkim w sferze ekonomiczno-społecznej. Okazuje się, że nie jest możliwe tak szybkie przezwyciężenie historycznego opóźnienia rozwojowego Polski, jak to myśleliśmy wtedy, gdy z socjalizmem automatycznie łączyliśmy wielki skok. Ten skok rzeczywiście nastąpił, ale równocześnie rozwijały się przecież kraje o innych ustrojach i dystans w wielu dziedzinach, choć zmniejszony, nie został zredukowany całkowicie, a

urealnić marzenia —ulepszyć praktykę

JÓZEF TEJCHMA



nawet na pewnych odcinkach powiększył się. Trzeba zatem urealnić i uwiarygodnić ideę rozwoju gospodarczego Polski w takim duchu, że musi się on dokonywać, ale nie może być skokowy. Nie można zakładać utopijnych, wymarzonych planów szybkiego osiągnięcia poziomu ekonomicznego, technologicznego krajów wysoko rozwiniętych.

Urealnienie wymaga również idea sprawiedliwości społecznej, która zawsze zajmuje umysły ludzkie i jest jedną z najistotniejszych wartości jest fundamentalną zasadą naszego systemu. Nie może to być jednak równość absolutna, całkowita, która łatwo stałaby się nową formą niesprawiedliwości. Niestety, ludzie nie są równi w swoich zdolnościach, pracowitości, w swoim udziale w tworzeniu dochodu narodowego, w swojej roli, jaką pełnią w życiu społecznym i narodowym. Taka jest po prostu rzeczywistość i nie można zmienić rzeczy, które nawet na przestrzeni dłuższego okresu są niezmiennalne. Pewna nierówność indywidualna, która istnieje, a zatem i element nierówności, musi być nie tylko akceptowany, lecz nawet podtrzymywany, gdyż stwarza warunki dla inicjatywy ludzkiej, dla dążeń do wybiecia się ponad przeciętność. Natomiast co do problemu sprawiedliwości społecznej musimy go rozumieć w takim duchu, w jakim był on genetycznie rozumiany w teorii socjalizmu; jest to równość przede wszystkim pozycji wyjściowej, w momencie startu. I to powinno być skorygowane w praktyce. Jeśli mowa o drobnych ide-

ach i złej praktyce: ideologia musi tolerować pewną nierówność, różnicowanie ludzi w ich pozycji, a praktyka musi korygować politykę społeczną i w ogóle politykę w takim kierunku, aby ten punkt startu, szansę, przede wszystkim młodych ludzi — bez względu na to gdzie mieszkają, gdzie się urodzili, jakie mają pochodzenie społeczne — były w miarę możliwości zbliżone. Choć jeśli patrzeć realistycznie na życie, to one nigdy nie będą równe. Tym bardziej więc ta korekta praktyki w tym punkcie byłaby sprawą istotną i zgodną z duchem czasu. Szczególnie dzisiaj, kiedy wszyscy są bardzo wrażliwi na punkcie równości, sprawiedliwej oceny ludzi i rzeczywistych wartości. Zresztą, w istocie, przy tym wielkim dążeniu do sprawiedliwości ludzie mają intuicyjne wyczucie, że ktoś jest dobry lub zły, pracowity lub źle wypełniający swoje obowiązki. Takie nieformalne oceny funkcjonują i trzeba na tych właśnie ocenach ludzkich powszechnie akceptowanych budować politykę społeczną, ideologię sprawiedliwości z jednej strony, i naturalnej nierówności, koniecznej w naszym życiu — z drugiej strony.

Ten problem, ten dylemat, tak bardzo dzisiaj ostry w świadomości społecznej, może być rozwiązany — choć nigdy do końca w sposób wymierny. Tej utopii trzeba się wyzybyć, choć — inna rzecz — każde młode pokolenie chce jej trochę mieć. Rzeczywistość musi jednak dominować nad schematami, które nie dadzą się sprawdzić.

Drugi istotny dylemat jest związany z ogólną sytuacją i pozycją Polski. Pamiętamy, że Polacy, każde nowe pokolenie, z naszej tradycji, historycznej, z wychowania, z literatury, z klimatu życia społecznego i narodowego wynosi poczucie wielkości ambicji. To jest uzasadnione historycznie, zrozumiałe i to poczucie wielkości musi i powinno być zachowane, gdyż stanowi ono źródło dynamiki społeczeństwa, narodu, młodych pokoleń; daje satysfakcję, że jesteśmy kimś, mamy osobowość jako naród, jesteśmy doceniani w Europie, na świecie, jesteśmy znani, szanowani. Ale i tu od razu przychodzi, a w każdym razie grozi, pewne rozczarowanie i pewien problem: to poczucie wielkości, jakie niesiemy w swojej świadomości historycznej może się zderzyć z określonymi realiami, takimi np. jak to, że Polska nie jest krajem mocarstwem, najwyżej rozwiniętym, że jej możliwości jako państwa są ograniczone, że Polska niepodległa, Polska suwerenna jest jednocześnie zależna od całosci uwarunkowań, w jakich żyje.

Pozwolę sobie tu na bardzo osobistą myśl. Mówi się często o położeniu Polski, nazywamy je geopolitycznym, które jest jakoby niekorzystnym i skazującym nasz kraj na określone konieczności wewnętrzne i zewnętrzne. Otóż sprostowanie musi być następujące: każdy kraj ma swoje położenie geopolityczne; nie ma na świecie państwa, które mogłoby wyłączyć się całkowicie z warunków, w jakich żyje, a które mają określony wpływ zarówno na życie wewnętrzne, jak i na pozycję międzynarodową danego państwa. Nie jest więc nieczym unikalnym problem pogodzenia ambicji wewnętrznych, poczucia niezależności suwerenności z uwarunkowaniami zewnętrznymi, geopolitycznymi. Nie jest to żaden fatalizm a po prostu rzeczywistość, element niezmiennalnej rzeczywistości; jest to obiektywne, dane nie tylko polskiemu narodowi, ale i innym. Główny problem polega na tym, czy mamy dość mądrości i roztropności, aby w danych warunkach rozwijać się możliwie najlepiej, zdobyć korzystną pozycję i z największą korzyścią przystosować je do potrzeb naszego rozwoju.

Niestety, w polskiej myśli politycznej i w polskiej świadomości społecznej, także ostatnich kilkunastu lat ten dylemat nie został rozwiązany optymalnie i nadal w różnych głowach pozostaje jako nierozwiązany dla Polski — jako sprzeczność między tym co chcemy a co możemy. Otóż chcąc musimy dużo, ale musimy umieć chcieć to, co możliwe i to realizować. Ten dylemat jest chyba dość łatwo dostrzegalny. Na przykład w postawach dzisiejszej młodzieży, która

jakby nie wiedziała, jak swoje romantyczne często poglądy na rolę Polski w Europie i na świecie pogodzić z realizmem politycznym. Odrzucam tutaj te sprawy od problemów ideologicznych, które też mają znaczenie w położeniu Polski i fakcie, że mamy socjalistyczny ustrój — to jest element dodatkowo istotny i pomagający rozwiązać ten polski dylemat — być krajem wielkim, narodem wielkim, a równocześnie mieć świadomość faktu, że nie jesteśmy mocarstwem, że sam wpływamy na politykę sąsiadów Europy, ale pozostajemy pod ich wpływem. I to jest rzecz normalna i to trzeba przyjąć.

Trzeci dylemat dotyczy obszaru kultury, którą zajmuję się bliżej. Jest to zresztą odwieczny dylemat obecnie szczególnie istotny i ważny — wzajemnego stosunku demokracji kulturalnej i pewnego elitaryzmu intelektualnego, który zawsze w życiu istnieje. Musimy łącznie ujmować i analizować te problemy.

Mamy pozytywne wyniki w rozwoju oświaty, nauki, ludzie mają dostęp do coraz lepszego i wyższego wykształcenia. Tworzy to możliwość rozwoju demokratycznej kultury na wyższym poziomie. Przy czym, im bardziej demokratyczna jest kultura i tworzy się to, co na zachodzie nazywają kulturą masową, tym bardziej potrzebne jest zachowanie określonych szczytów kultury, jej elity, jej osiągnięć niedoścignionych dla wszystkich i nie dla wszystkich osiągalnych. Trzeba to oczywiście rozumieć nie w sensie absolutnym, że są to wartości w ogóle nie do osiągnięcia dla człowieka, lecz nieosiągalne bez ustawicznego, wielkiego wysiłku, bez ustawicznego dążenia demokratycznej kultury, aby stawała się demokracją na coraz wyższym poziomie.

Ten ustawiczny ruch w górę ludzkich ambicji w dziedzinie kultury, nauki jest, być może, dzisiaj najbardziej istotnym problemem rozwojowym Polski i naszego społeczeństwa. Jest problemem szczególnie ważnym dla młodzieży, która poszukuje dla siebie określonej przestrzeni rozwojowej, chciałaby zdobyć dla siebie jakąś ciekawą biografię, a widzi wszędzie w życiu codziennym szarżę; nie ma takich możliwości łatwego sukcesu, czy choćby dramatycznej przygody jak na przykład ta, którą znamy z literatury, czy z tragicznych okresów naszej historii, w okresach zaborów, wojen, ale przecież, nie odmawiając wielkości tym sprawom, wiemy, że nie mogą być one jedyną ani jedną propozycją. Byłoby to przyjęcie absurdu, że biografia najciekawsze tworzyć można tylko na gruncie tragedii narodu. Kultura powinna dać możliwość wyboru takiego życia, które będzie ciekawe, intensywne, przygodowe w warunkach pokojowego rozwoju i cywilizacyjnego postępu. Będzie to możliwe, kiedy przy równości szans, przy demokracji stosunków kulturalno-społecznych istnieć będą owe wyżyny, na które trzeba się wечно wspinać. I kandydatów do tej wspinaczki na szczyty ludzkiego umysłu, ludzkiej kultury szukać trzeba przede wszystkim, czy może szczególnie, wśród młodzieży i tu dawać zachętę jej aktywności, jej ambicjom. To jest ta sprzeczność między demokratyczną szarżą a pewnymi niedoścignionymi sukcesami w różnych dziedzinach życia. Szczególnie obecnie, w warunkach kryzysu, jest ważne, aby dostrzec niektóre perspektywy w przyszłości, aby nie utopić się, nie zczadzić całkowicie bezwysięsnością, jaką ogólnie żyjemy; beznadzieją, jaką nas ogarnęła; żeby przełamać ten stan psychiczny, który powstał, że nic nie możemy, że nasze wysiłki nie przynoszą spodziewanych wyników. Sądzę, że nie jest uzasadniona taka postawa, gdyż takie wyniki są możliwe.

Traktując sprawę metaforycznie, jest tym np. wielkie wydarzenie sportowe, zdobycie srebrnego medalu przez piłkarzy. Oddzielmy tu aspekt czysto sportowy, bardzo cieszący, a przyjmijmy pewne pouczenie z tego faktu, mianowicie że Polacy, niezależnie od tego jakie mają przejściowe kłopoty, trudności i niezależnie od tego że nie są mocarstwem, mogą się wybić na wyżyny ludzkich osiągnięć. Przyjmijmy to jako zachętę także do działania w innych dziedzinach naszego życia.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Dobre układy zaczęły się z chwilą powstania Kuratorium, a więc od momentu, kiedy bursę dyrektora L. znalazła się w kręgu kompetencji kuratora D. O wszystkim zadecydowała stara znajomość i fakt, że byli sobie nawzajem potrzebni. L. bardzo szybko poczuł grunt pod nogami, czyli, jak to oceniają niektórzy, zamienił bursę na prywatne rancho. Stał się jej absolutnie niezależnym władcą. Pracę rozpoczynał zazwyczaj koło godziny dziesiątej — wpadał, wydał jakieś dyspozycje, zajął w kalendarz i już go nie było. Szedł do domu, bądź pędził z naczem kwiatów, a nierzadko też butelczyną dobrego koniaku w tecze, do któregoś z aktualnych, wpływo- wych solenizantów. Następnie zjawiał się (lub nie zjawiał w ogóle) przed dwudziestą drugą, bogato ilu- minował gabinet i, jak to się nazy- wało, zaczynał urzędowanie. Czego dotyczyło, ciężko dociec. Faktem jest, że z reguły nie trwało długo. Trudno się zresztą dziwić: większość obowiązków sędował na swego za- stępcę, sobie pozostawiając jedynie dysponowanie pieniędzmi oraz tzw. funkcję reprezentacyjną. Jakim w takim razie cudem, w jednym tylko okresie — od 29 12 1980 r. do 23 06 1981 r. — zdołał przepracować 410 godzin nadliczbowych? Średnie ob- ciężenie pracowników dydaktycz- nych internatu wynosiło 36 godzin tygodniowo, L. musiałby więc prze- pracować niemal trzy miesiące na sześć — dodatkowo. Tajemnica wy- jaśni się, jeżeli weźmiemy pod uwa- gę, że, co prawda, godziny nadliczbo- we (a także nagrody pieniężne) przy- znawane były „komisyjnie”, ale fak- tycznie dysponował nimi dyrektor.

W bursie panuje całkowita pusty- nia pedagogiczna i wychowawcza. Nie było i nie ma możliwości orga- nizowania jakichkolwiek imprez. Wszelkie inicjatywy wychowawców — kupno pianina, stworzenie zespo- łu muzycznego, zorganizowanie ciemni fotograficznej — nie znajdo- wały akceptacji L. Plac, na którym mogły powstać boiska do gier spor- towych zajęły garaże i działki. Do- dajmy, że na budowę części garaży nie było pozwolenia.

Na przełomie roku 1979 i 1980 przeprowadzono, kosztem 2 mln zło- tych, remont budynku internatowe- go. Zgodnie z kosztorysem miał on objąć trzykrotne malowanie po- mieszczeń. Faktycznie większość sal i korytarzy pomalowano jeden raz, a tylko niektóre, głównie sale kur- sowe — dwukrotnie. Mimo tak koszt- ownego remontu w bursie nadal panował nieporządek: brakowało zamków i klamek w drzwiach i szyb w oknach, w pomieszczeniach sani- tarych przeciekały krany, zdewa- stowane, brudne umywalki i muszle nie nadawały się do użytku. Wyko- nano natomiast boazerię z płyty la- minowanej: z ogólnej ilości 160,13 metrów kwadratowych na holl prze- znaczono 18,83, na boazerię w mieszk- aniu dyrektora 2,3, natomiast 141,30 m kwadratowych płyty oddano OHP, który wykonał z niej meble dla bursy, a także obudowę zlewu, licznika elektrycznego i pawlacz oraz meble kuchenne. Wszystko na wyposażenie mieszkania L. Przy o- kazji wykonano remonty mieszkań dyrektora i jego zięcia F.: wstawio- no trzony kuchenne, zamontowano termę elektryczną do wody. Znow z pieniądze bursy.

Warto także wspomnieć, że w gruncie rzeczy F. otrzymał to mieszk- anie nielegalnie, bo choć za ustną zgodą kuratora, ale wbrew przepi- som, mówiącym, że pierwszeństwo mają pracownicy związani z oświa- tą (nie doczekali się np. mieszkania wychowawcy P.). Na tym nie ko- niec. W mieszkaniu L. jest co praw- da podłóżnik, ale instalację elek- tryczną jednego z pokoiów podłą- czono bezpośrednio do sieci bursy — w pokoju tym systematycznie ko- rzystano z dwóch grzejników elek- trycznych. Ani dyrektor, ani jego zięć nie pokwapili się nigdy ze zwro- tem pieniędzy za węgiel internatu, którym opalali prywatne mieszka- nie. Pewne kłopoty sprawiać może ustalenie właściciela sprzętu radio- wego, wykładziny podłogowej, kold- ry, poduszek, firanek, naczyń stoło- wych i kuchennych znajdujących się w ich użytkowaniu, gdyż zgod- nie z praktyką L. większość sprzę- tu w bursie nie była znakowana.

Niemal identyczne przeszkody na- potyka się w sprawie działek przy- internatowych. Żadna z nich nie jest ujęta w ewidencji użytków rolnych bursy, brak danych dotyczących ich

wielkości i właścicieli. Z oświadcze- nia kierownika administracji gospo- darczej wynika, że w użytkowaniu dyrektora znajduje się połowa zie- mi, a obornik na nią był kupowa- ny za pieniądze państwowe.

Na terenie bursy od dłuższego czasu prowadzony był tucz świń. Na dziko — bez numerowania, wa- żenia, bez uczciwej ewidencji. 16 marca np. zakupiono 16 sztuk za 110 tysięcy złotych. O tym, ile ich jest i jak się im powodzi świadczył co najwyżej brak zlewek, a głównie mleka, ziemniaków i kaszy. Dyrek- tor twierdził, iż prowadzenie tuczu ma na celu poprawienie wyżywienia młodzieży — publicznie manifesto- wał tę tezę. Zabijaniu świń towarzy-

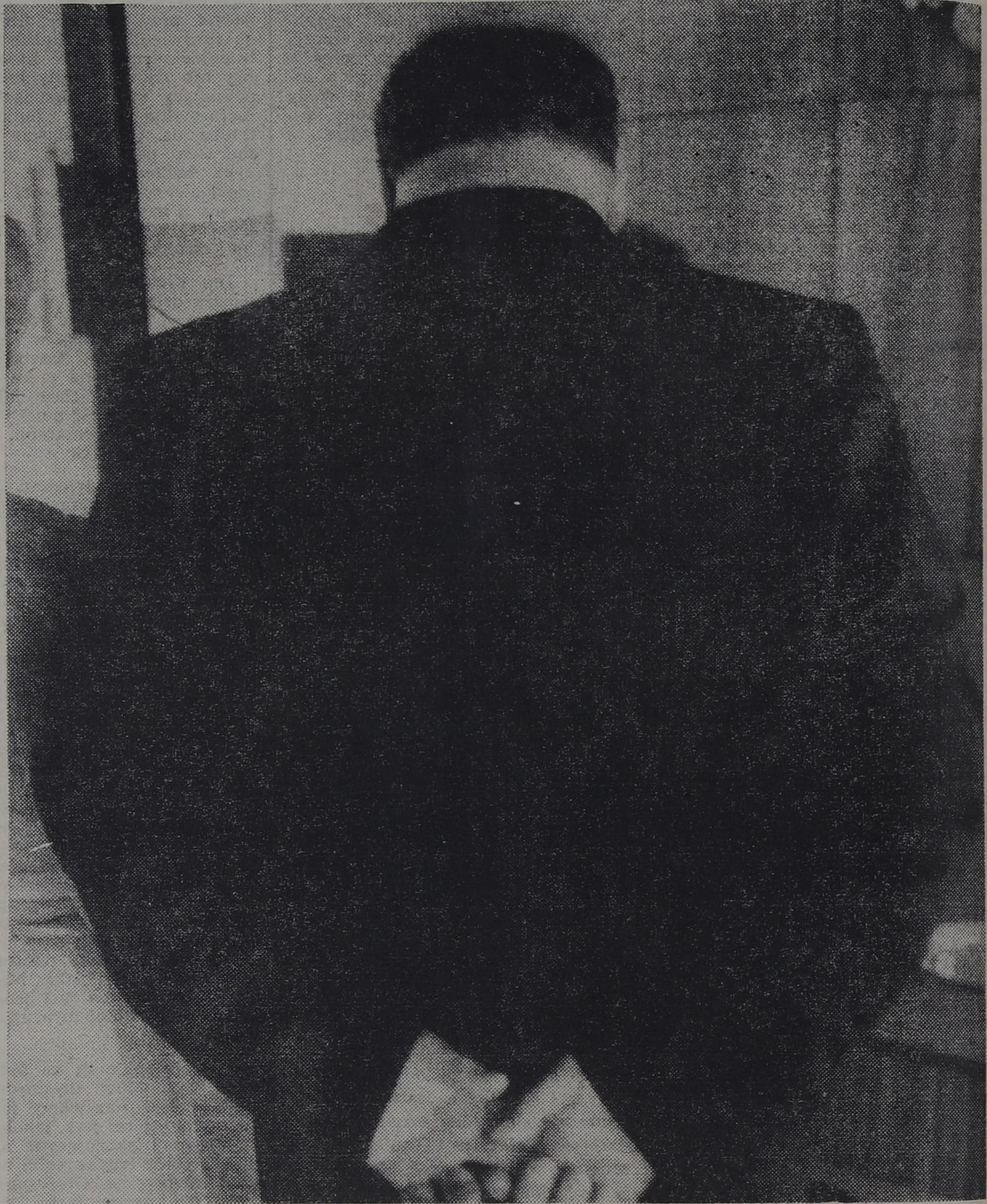
range. Niezbyt też chętnie poniżej tejże schodzi. Jeżeli już gości ko- goś, to ludzi odpowiedzialnych i pa- sujących do roli, a jeżeli spełniają te warunki, nie wypada ich zbyć by- le czym. Nie może się przecież skoń- czyć ważna nasiadówka butelką quick'coli i paczką krakersów. I w tym miejscu i momencie zaczyna się pole do popisu „adiutanta żywno- ściowego”.

Najpoważniejszą, można powie- dzieć — życiową rolą L. było orga- nizowanie bankietów, w tym prze- de wszystkim zdobywanie (w tak trudnych czasach prawie nieosiągal- nych) deficytowych produktów typu: szynka, polędwica, ryba po grecku

Sięganie do rezerw finansowych uczniów stanowiło stałą praktykę L. Równie często odbywało się to w sposób pośredni, właśnie poprzez wspomnianą kuchnię internatową. W nagłych, a nieoczekiwanych przypadkach płynęły do intenden- tki polecenia dyrektora. Musiało znaleźć się wszystko. Stawką była posada.

Wszystkie opisane sprawy sta- nowią w rzeczywistości tylko frag- ment bujnej działalności L., a mi- mo to w sposób wyrazisty rysują portret typowego samodziercy. Czło- wieka, który wyrobił w sobie mnie- manie o zupełnej bezkarności włas- nych poczynach. Wiadomo jednak, że

adiutant Jego Biurokratyczności



szli zawsze przedstawiciele „spo- łecznego organu” uczniowskiego, odbywało się publiczne ważenie, mierzenie. Tymczasem analiza sto- łówkowego menu wskazywałaby, że nie było aż tak różowo, gdyż po- siłki rzadko kiedy można było za „zjadliwe”. To raczej świnię podjadały produkty przeznaczone dla młodzieży. Poza tym, czemu dy- rektor nie może zaprzeczyć, braki w ewidencjonowaniu i znakowaniu stwarzały niepowtarzalną okazję do różnego rodzaju nadużyć, takich choćby jak podmienianie małych warchlaków dorosłymi, dorodnymi świniami.

Sprawy kulinarne, a więc i kuch- nia, były domeną dyrektora. W grun- cie rzeczy obowiązywały tam tylko jego zarządzenia, liczyły się tylko jego kontrole. Za jego też wyłącz- ną wiedzą dokonywano np. zaku- pów ziemniaków. Trudno mieć ja- kiekolwiek zastrzeżenia do prawid- łowości wystawiania rachunków, zastanowić jednak musi fakt, że do- stawca ziemniaków był szwagier L., że ceny po jakich sprzedawał były zdecydowanie zawyżone, a ilo- ści nadmierne w stosunku do po- trzeb. Rok w rok trzeba było usu- wać z piwnic internatowych tony przegniłych kartofli.

*

Miasto wojewódzkie ma, lub przy- najmniej nie mieć, odpowiednią

itp., na różnego kalibru alkoholach skończywszy. Nie można powiedzieć, żeby były to poczynania nielegalne. Wszystko odbywało się pod auspic- jami i z błogosławieństwem Kura- torium bądź innej, nie mniej waż- nej instytucji. Ponieważ jednak oś- wiata nie należy do najhojniej me- cenasowanych przez skarb państwa, w niejednym przypadku konieczne było zdanie się na inwencję L. Cho- ciażby w sprawie otwarcia szkoły w Małym Płocku. Spodziewano się przybycia około 150 osób — delega- cji z kuratoriów wszystkich woje- wództw partycypujących w budowie szkoły, przedstawiceli ministerstwa, ekipy telewizyjnej. Imprezę przygo- towano trochę na wyrost. Na 200 osób, czyli, jak to się mówi, na wszelki wypadek. Kuratorium zain- westowało 8 tysięcy złotych. Nieste- ty nie wystarczyło tego, by pokryć koszty kupna 20 litrów wódki, szyn- nek, baleronów. Trzeba było sięg- nąć do kieszeni... młodzieży. Na koncie Komitetu Rodzicielskiego bursy leżała zawsze jakaś drobna sumka, 100—120 tysięcy złotych. Zawsze też można było zarządzić jeszcze składkę na kwiatki. W uro- czystym dniu otwarcia zjawili się w Małym Płocku 50 osób.

nic tak nie gubi jak zbytnia pew- ność siebie.

Tym, co budziło wśród pracow- ników bursy najwięcej kontrowersji i zastrzeżeń, było przyjmowanie, a dokładniej — sposób przyjmowania nowych jej mieszkańców. Nie chodzi już nawet o fakt, że L. nie liczył się w tej kwestii ze zdaniem Rady Pedagogicznej. Ostatecznie nie liczył się z niczym zdaniem. Najbardziej denerwowało co innego — sprzeda- wanie miejsc, zdarzało się, że i za twardą walutę. Co prawda była ich naby ograniczona ilość, nie jednak nie stało na przeszkodzie, by zaga- ścić sale, lub okresowo położyć do jednego łóżka po dwóch uczniów. Można też było kogoś usunąć — powód zawsze się znalazł. Nie trze- ba dodawać, że i to odbywało się bez uzgodnienia z Radą Pedagogi- czną.

Wszelkie objawy niezadowolenia tłumil L. w sposób zdecydowany. Delikwent dostawał wymówienie motywowane nieprzydatnością do za- wodu, konfliktowością charakteru itp. W końcu jednak dało to jeden, na pewno niepożądany przez dyrek- tora skutek. Do Kuratorium wpłynął anonim, co spowodowało na bursę kontrolę. Widać przynajmniej część zarzutów potwierdziła się, bo L. do- stał nagane. Żeby jednak nie poczuł

penetracje



się zbytnio pokrzywdzony, jeszcze w tym samym roku został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i wyróżniony nagrodą pieniężną. Nie można też zapomnieć, że od kilkunastu lat otrzymywał specjalny dodatek z KOiW za szczególne osiągnięcia pedagogiczne oraz 20-procentowy dodatek służbowy. W międzyczasie wysłużył sobie też nagrodę jubileuszową. Te ostatnie wyróżnienia otrzymał bezprawnie, gdyż nie mógł wykazać się konieczną w takim wypadku ciągłością pracy w zawodzie nauczycielskim. Tak czy owak wszystkie te wypadki sprawiły jedno — umocniły i tak ugruntowane przekonanie pracowników bursy o niemożności zmienienia czegośkolwiek. Tymczasem miało stać się inaczej.

W sierpniu 1979 roku rozpoczął pracę w bursie nowy zastępca dyrektora. Początkowo wszystko układało się jak w klasycznej sielance. G. nie wprowadzony w specyficzne, bursowskie układy postępowania jak „pierwszy naiwny”, tzn. chciał robić, co do niego należało. Szybko jednak przekonał się, że niewiele ma do powiedzenia. Traf chciał, że pewne układy osobiste L. sprawiły, że G. bardzo szybko stał się dyrektorem niewygodny. Zaczęła się więc wojna podjazdowa. G. nie myślał łatwo rezygnować. Interweniował w Kuratorium, w Komitecie Miejskim PZPR. Jedyną konsekwencją było to, że L. poczuł się zagrożony i z tym większą energią wziął się do obrzydzenia życia swemu zastępcy. Sprawił m.in., że w aktach personalnych G. pojawił się paszkwil dyskredytujący tegoż jako nauczyciela. Z nieoczekiwaną pomocą L. przyszedł przypadek. G. dostał list ze Stanów Zjednoczonych, w którym jego ojciec — przebywający tam od II wojny światowej — zapraszał go do siebie. Złe się czuł, chciał po prostu zobaczyć dawno nie widzianego syna. G. poprosił o urlop, a otrzymał odpowiedź, że musi zwolnić się z pracy, ale jednocześnie zapewnić go o zwodniczo, że po powrocie będzie mógł ponownie objąć posadę wychowawcy (nieco wcześniej zrezygnował jednak ze stanowiska zastępcy). Nie objął — L. zbył go twierdzeniem, że przecież rozwiązał z nim umowę o pracę, a kurator, uprzedzony przez dyrektora, potraktował go prawie jak kryminalistę. Wyjazd „amerykański” urosł do rangi problemu. Tymczasem G. faktycznie znalazł się na łodzi. Owszem, oferowano mu pracę w Śniadowie, Ciechanowcu, ale nie czuł się przecież winny, a tu tymczasem karano go „zesłaniem”. Po wielu interwencjach zatrudniony został w bursie jeszcze raz, ale tylko na jeden miesiąc. Następnie dwa pozostał bez pracy. W końcu zdecydował się na przyjęcie posady nauczyciela w Piątnicy.

G. nie ograniczył się w swojej samotnej walce do rozmów z kuratorem i dyrektorem L. Zdesperowany, postanowił szukać sprawiedliwości u komisarza wojkowego. Przedstawił listę zarzutów, poprosił o zbadanie sprawy. Rezultat mógł być tylko jeden — L. powinna się noga. Chciał jeszcze skorzystać z „bocznej furtki”, złożyć podanie o zwolnienie z pracy na własną prośbę, ale tym razem nawet kurator nie okazał się zbyt wpływowym „o-piekunem”. L. otrzymał zwolnienie dyscyplinarne. Prawdopodobnie w najbliższych dniach zatrudniony zostanie jako pedagog w Technikum Drzewnym. Natomiast G., dzięki któremu wyszła na jaw cała ta obrzydliwa aferka, znowu nie ma co z sobą począć. Niedawno wygasła mu umowa o pracę.

Nie jest to zbyt budujący finał. Dlatego, żeby nie zamykać nim tej sprawy, chciałbym na zakończenie postawić pytanie: co mają do powiedzenia ci, od których tak wiele zależało, którzy pozwolili na to, by do czegoś takiego doszło? Nie myślę już nawet o kuratorze, który cieszy się zapewne w tej chwili, że udało mu się tak łatwo z tego wszystkiego wymotać. A swoją drogą, jak bardzo „potaniała” nieuczciwość.

I jeszcze jedno. Zapytacie zapewne co z nożycami. Odywały się i to niejednokrotnie. Ostatnio jednak umilkły. Być może gra nie wydała im się warta świeczki.

ALEKSANDER WRONISZEWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

Gdy zanosilo się na reformę w kulturze, w ramach tej ogólnej, mówiło się o tym, że będziemy mieć wreszcie kulturę jakiejś naprawdę chcemy — wysoką, niską czy średnią — taką, na którą z przyjemnością wydamy grosz, a nawet dużo złotych. Ktoś się nawet wtedy zamartwiał, że trzy „S” załatwią ambitywnych twórców i prekursorskie poczynania, bowiem szlachetniejsze, bardziej wysublimowane gatunki i dzieła znajdują zawsze mniej konsumentów. Przewidywano natomiast z zadowoleniem upadek pseudo-artystów. Tymczasem trochę mniem może rzeczywiście padło, lecz niespodziewanie namnożyło się wiele drobnych grup oferujących gdzie się da swe usługi i programy. Ponieważ obywatele wraz ze swym państwem przeżywają kryzys, coraz niechętniej sięgają do chudnącego portfela, by kupić książkę, gazetę lub bilet na imprezę. A gdy już wydają, to chcą wiedzieć — na co. Zdają sobie z tego dobrze spr-

pląsający gangsterzy

DANUTA WRONISZEWSKA

wę artystyczni hochsztaplerzy i, nie mając szans na uczciwy nabór klientów, mają się różnych wybiegów.

Na początku sierpnia zawiła do Łomży pewna olsztyńska grupa z programem artystyczno-propagandowym „Tyko z nami”. Pan Sylwester Golczuk, mianujący się Kierownikiem Zespołu Propagandowego i legitymujący stosowną pieczęcią: „Specjalistyczny Zespół Propagandowy ds. Popularyzacji Zagadnień O.C. BHP „Ład—porządek—bezpieczeństwo—dyscyplina”, Olsztyn, ul. Gołdapska 29”, przekonywał, skutecznie zresztą, władze i kierownictwo zakładów pracy o potrzebie prowadzenia akcji uświadamiającej. O przepisach stanu wojennego, bo przecież wciąż ktoś koliduje z prawem; o dyscyplinie i porządku, gdyż społeczeństwo wciąż rozwichnione i tylko patrzy, by dyscyplinę złamać, ład naruszyć oraz o przepisach bhp, a szczególnie ppoż., bo wiadomo, że płoną hektary lasów, a domy zamieniają w zgłiszcz z ludzkiego niedbalstwa. Jeden, drugi i dziesiąty dyrektor czy kierownik sprawdził pozwolenie wojewódzkich władz, czy impreza jest legalna. A tematyka — cóż, trudno zaprzeczyć, że potrzebna, a forma bardzo zachęcająca, bo prelekcja, czy jak tam nazwać to pouczanie, miała być okraszona występami artystycznymi. Zatem przyjemne z pożytecznym, trudno więc nie przyklasnąć, czyli nie kupić z funduszu socjalnego nieco biletów dla załogi. Nie ma się bowiem co ludzi, że ktoś dobrowolnie wyda 200 złotych na szkolenie.

Wieczorem, w sali Wojewódzkiego Domu Kultury, okazało się, że kierownik Zespołu Propagandowego i inkasent rano, teraz przeobraził się w konferansjera-propagandzistę. Pan Sylwester, gdy nie był zmęczony, wygłaszał trzuminutowe „wstawki propagandowe”. Zaczynał od ciepłego „Dobry wieczór Państwu, witam serdecznie w imieniu organizatorów, kierownictwa oraz wykonawców programu artystycznego organizowanego generalnie pod hasłem aktualnym hasłem „Ład—porządek—dyscyplina”. Program składa się z dwóch integralnych części, lecz na przestrzeni tych 120 minut dominować będzie muzyka, piosenka i taniec. Każde słowo, które padnie z tej sceny, każda nutka wygrana i wytańczona, to nasz skromny ukłon w stronę tych, którzy potrafią rozważnie żyć i pracować. Rozpoczniemy więc na wesoło węgierskim czardaszem. Gra i śpiewa cygański zespół BARO DROM”.

Zespół prezentował co miał do zaprezentowania, a miał tyle co kot na kłak. po czym konferansjer uświadamiał przez następne 50 sekund, że żyjemy w warunkach nieco odmiennych od normalnych, lecz określone warunki przejściowego stanu wojennego ograniczają niektóre tylko przywileje. Natomiast sytuacja ogólna wymaga od każdego obywatela rzetelnego wykonywania obowiązków, sumiennej, ofiarnej pracy. A dla wszystkich tych, którzy żyją

bez zarzutu i przybliżają dzień całkowitego powrotu do tak zwanej normalnej codzienności znów zagrał (litości!), i zaśpiewał, i zaplaśał (zmiłowania!) zespół BARO DROM.

Propagandowa pinta siłą swej patriotycznej wymowy zatykała dech w piersiach: „Nie ma na kuli ziemskiej państwa, które by stało obok prawa, które by nie miało przepisów, kodeksów, zarządzeń. Już starożytni Rzymianie bardzo mądrze powiedzieli »dura lex, sed lex«. Prawo jest twarde, ale prawem jest. Znakomity poeta dopisał jakby dalszy ciąg łacińskiej sentencji: »niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość — sprawiedliwość«. Szanowni Państwo, nie jestem tu po to, by uczyć was przepisów. Na przestrzeni dwóch godzin przepisów nauczyć nie możemy. Apeluję więc do rozsądku, do sumienia, a przede wszystkim do serca: żyjmy i pracujmy tak, aby w Ojczyźnie naszej zapanował spokój, ład i porządek. Dla wszystkich, któ-

rzy chcą razem z nami odbudować Ojczyznę — gra i śpiewa zespół Baro Drom”.

Gdy pan konferansjer był zmęczony — a może w lepszym humorze? — kpina z widowni była tak jawna, że tylko kulturze publiczności może zawdzięczać, iż dobrowolnie tracąc twarz, zębów niechcący nie stracił. Na pełnym luzie komunikował bowiem, że wprowadzić program jest pod hasłem „Ład—dyscyplina—porządek”, ale nikt tu nie będzie nikogo zanudzał, bo na takie dyskusje nikt ochoty nie ma. Gdy z sali ktoś śmiało a zdecydowanie oświadczył, że ochotę na dyskusję ma, a nawet przede wszystkim po to tu przyszedł, pan kierownik Zespołu propagandowego z naturalnym wdziękiem zapytał: „Chyba pan żartuje?” Łatwo się domyśleć, że pytanie było absolutnie retoryczne. Nie wiem, czy menażer zespołu chciał przekazać jakiegokolwiek myśli, lecz to, co przedstawił trudno nazwać choćby myślatkami. Jeśli chodzi o występ artystyczny, to najmniej grymaśni określili go jako zupełną byrdzę.

Żeby kpić z poważnych spraw trzeba mieć talent, żeby bezkarnie kpić z publiki — wyjątkowe szczęście. W Łomży olsztyńscy artyści posłiznęli się na swej bezczelności, jak na rozdeptanym konskim „byłym owsie”. Oburzona publiczność doniosła, gdzie potrzeba i Wydział Kultury i Sztuki UW cofnął decyzję na dalsze występy w Łomży i województwie. Jest więc finał, a teraz pora na morał.

O gustach i kolorach się nie dyskutuje, więc zostawiam w spokoju Cygnałów — niech przytupują i zawodzą, byleby mi nie wpierali, że w ten sposób wszyscy razem maszerujemy ku normalizacji. Nie ulega natomiast wątpliwości, że należałoby wrócić do zarzucanej praktyki ustalania: komu i po co daje się zezwolenie na pieczętkowanie się osobistą pieczęcią, w rodzaju „Magik Szybkiego Sukcesu”, „Motyl Wojennego Trudu”. Bo ktoś może nam zagwarantować, że za miesiąc pan, powiedzmy Wiśniewski, nie wpadnie na równie szalbierski pomysł propagowania reformy gospodarczej. Wypisze sobie kilka niewątpliwie słusznych haseł, zorganizuje dwóch gitarzystów oraz streap-teaserkę i zmontuje program „Atrakcja reform — tylko u nas”. Przedtem, oczywiście wyrobi sobie za paręset zł stosowną pieczęć. I znów jakiś artystyczny gangster rozbije nią i hasłami parę zakładowych kas. Przypuszczenia te nie są czystą abstrakcją, gdyż kilka miesięcy wcześniej inna grupa chałturników wiskała swój „program”, tzn. bilety wraz ze szlachetną intencją przeznaczania 15 procent zarobku na Pomnik Kombatanta. A swoją drogą mógłby ktoś podarować np. Wydziałowi Kultury i Sztuki jakieś zdemobilizowane sitko, by spojrzeć przez nie na kandydatów do miana słusznego upropagandowanego artysty.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



5
KONTAKTY
29 VIII 1982

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Perspektywa” zwołała ludzi, by się pobawić w demokrację, to znaczy na losowanie przyznanych mieszkań. Niestety, zabawa, która jakoś nie udała się i teraz: wysłano więcej zawiadomień niż było gotowych lokali i lud się wzburzył. Pracownicy spółdzielni ze zdumieniem wyjaśniali najbardziej gardlującym: „co za różnica — mieszkać w tym czy tamtym bloku. Zresztą może prezes coś załatwi”. Różnica rzeczywiście żadna, poza tym, że „tamten” blok ma być oddany w październiku br. Liczymy jednak, że pan prezes nie zawiedzie zaufania swej załogi i „załatwi” choćby miał chwycić w wolne soboty za łopatę.

W „Spiećciach” nie zamieszczamy indywidualnych pochwał, podziękowań i tym podobnego czapkowania. Tym razem ulegliśmy prośbie czytelnika o „pryncypialne dopieszczenie”, zważywszy na wagę miłego naszego uchu słowa: „bardzo u-przejmnie dziękuję DYREKCJI Zakładu Komunikacji Miejskiej w Łomży za jakość usług i mego osobistego przewozu transportowego, który poprawił się do tego stopnia, że na autobus do Piątnicy nie muszę czekać dwie godziny, a jedynie półtorej. Kochanej Dyrekcji życzę dalszych kosmicznych kroków”.

W Kolnie restauracja „Nowa” o-prócz karmienia głodnych oferuje również usługi hotelarskie. Znużonym konsumentom wydzieliła podium orkiestrowe, na którym ucinają sobie drzemkę. Odnotowujemy ten fakt, gdyż zbliżają się chłody i warto, by kierownictwo zawczasu pomyślało o kołderkach.

W zbójneńskiej knajpcie częstokroć brakuje pieczywa. Konsument zagryza więc schabowego małym głębszym. Z naszego rozeznania wynika, że miejscowa piekarnia, która jest monopolistycznym dostawcą chleba na gminny rynek, maki ma pod dostatkiem, cierpi jedynie na brak chęci do pracy. Niestety, z tej maki i chleba nie ma.

W osiedlu „Jantar” wiele skrzynek na listy nie zamyka się: „dzieci wyjadają korespondencję, czytają i niszczą” — żali się jeden z mieszkańców. Wważamy, że podchodzi do sprawy zbyt subiektywnie. Przy braku książek i podręczników jest to wspaniały wynalazek rozwoju czytelnictwa. A tajemnica korespondencji? Proszę pana — niech pan otworzy kalendarz — niech pan pokreśli globusem.

W Wiejskim Domu Towarowym w Łomży stoisko obsługujące klientów spieszących na uroczystości pogrzebowe lub ślubne (własne) oferuje bogaty zestaw potrzebnych nam rzeczy, nieboszczykom np. czarne gumowce. Jest to cenne wyjście naprzeciw, zważywszy, że Charon strajkuje domagając się silnika do łodzi i przez Styks przeprowadzić się trzeba pieszkom.



Niewiele jest problemów, które bardziej bulwersowałyby społeczeństwo niż zaopatrzenie w mięso i przetwory — wahania w podaży tych artykułów odbijają się momentalnie na nastrojach ludności, co w szczególności dotyczy woj. łomżyńskiego. Słaby los, czy zimna kalkulacja planistów sprawiły, że w województwach: suwalskim, białostockim i ostrołęckim zbudowano wielkie, nowoczesne zakłady mięsne. Nie uszczęśliwiono łomżyńskiego takim obiektem, przewidując prawdopodobnie, że zaopatrzą je sąsiedzi. Rzeczywistość jest inna. Skarżenie naszego województwa z zawiścią patrzy na sąsiadów zza wojewódzkiej miedzy, którzy zjadają się szynką w siatce, nie spaloną, ociekającą sokiem, którą można jeść na surowo, bez gotowania. Prawda, tam też są kolejki, ale jeśli kupi się coś, to przynajmniej wiadomo jakiej jakości. Jeśli nawet w ościenych województwach brakuje czasem wędlin, to nigdy nie ma problemów z jakością sprzedawanych przetworów mięsnych.

W Łomżyńskim inaczej. Scierają się dwie fale mięsnych nadziei. Po jednej stronie są ci, którym udało się dostać wyroby przywiezione od sąsiadów, po drugiej — skwaszeni nabywcy wędlin łomżyńskich.

Województwo potrzebuje na pokrycie przydziałów kartkowych 651 ton mięsa miesięcznie. Pięćdziesiąt procent tego, czyli ok. 325 ton, stanowią wędliny. Zakłady mięsne przemysłu kluczowego w Ostrołęce, Elku i Białymstoku dostarczają naszemu województwu około 100 ton, z czego wynika, że ponad 200 ton musimy wytworzyć sami — w gesowskich, wuesowskich i prywatnych masarniach. Najprostsze rozwiązanie, które zadowoliliby mieszkańcy naszego województwa, to zamknięcie wszystkich masarni i zaopatrywanie się w mięso i przetwory u sąsiadów.

Niestety, możliwości przerobu mięsa w tych zakładach są ograniczone. Prawdą jest i to, że oprócz produkcji na własne potrzeby muszą wozić je do dużych ośrodków przemysłowych, produkują też na eksport. Obowiązują centralnie ustalone kierunki zbytu produkcji. Władze wojewódzkie szansę na zwiększenie dostaw z tych zakładów upatrują w reformie gospodarczej. Jeśli te zakłady rzeczywiście będą samodzielne i będą kierowały się rachunkiem ekonomicznym, to wiadomo, że szybciej zdecydują się na przywiezienie wyrobów z Białegostoku, czy Ostrołęki do Łomży niż do Warszawy czy Katowic. Obecne zaś tendencje są takie: Zakłady w Białymstoku od 10 do 25 sierpnia nie pracują — przeprowadzany jest przegląd sanitarny, w tym miesiącu dostarczą nam około 15 ton wędlin i mięsa. Jeśli przegląd wypadnie pozytywnie, to zakład prawdopodobnie podejmie produkcję eksportową, jeszcze trudniej będzie więc o większe przydziały. Nadzieja w zakładzie ostrołęckim. Jeśli żerańskie zakłady mięsne zaopatrzą Warszawę, wtedy część produkcji można będzie dać łomżyńskiemu.

Zbyt wiele w tym niewiadomych. Krzyżują się interesy, tworzą grupy nacisku. Wpływa to na nierytmiczność dostaw do sklepów. Nigdy nie wiadomo, kiedy rzucą i co rzucą. Mimo obserwowanej obfitości na punktach skupu, nie możemy spokojnie wejść do sklepu, wybrać rodzaj mięsa czy wędliny, chociaż ceny są wysokie i obowiązuje reglamentacja.

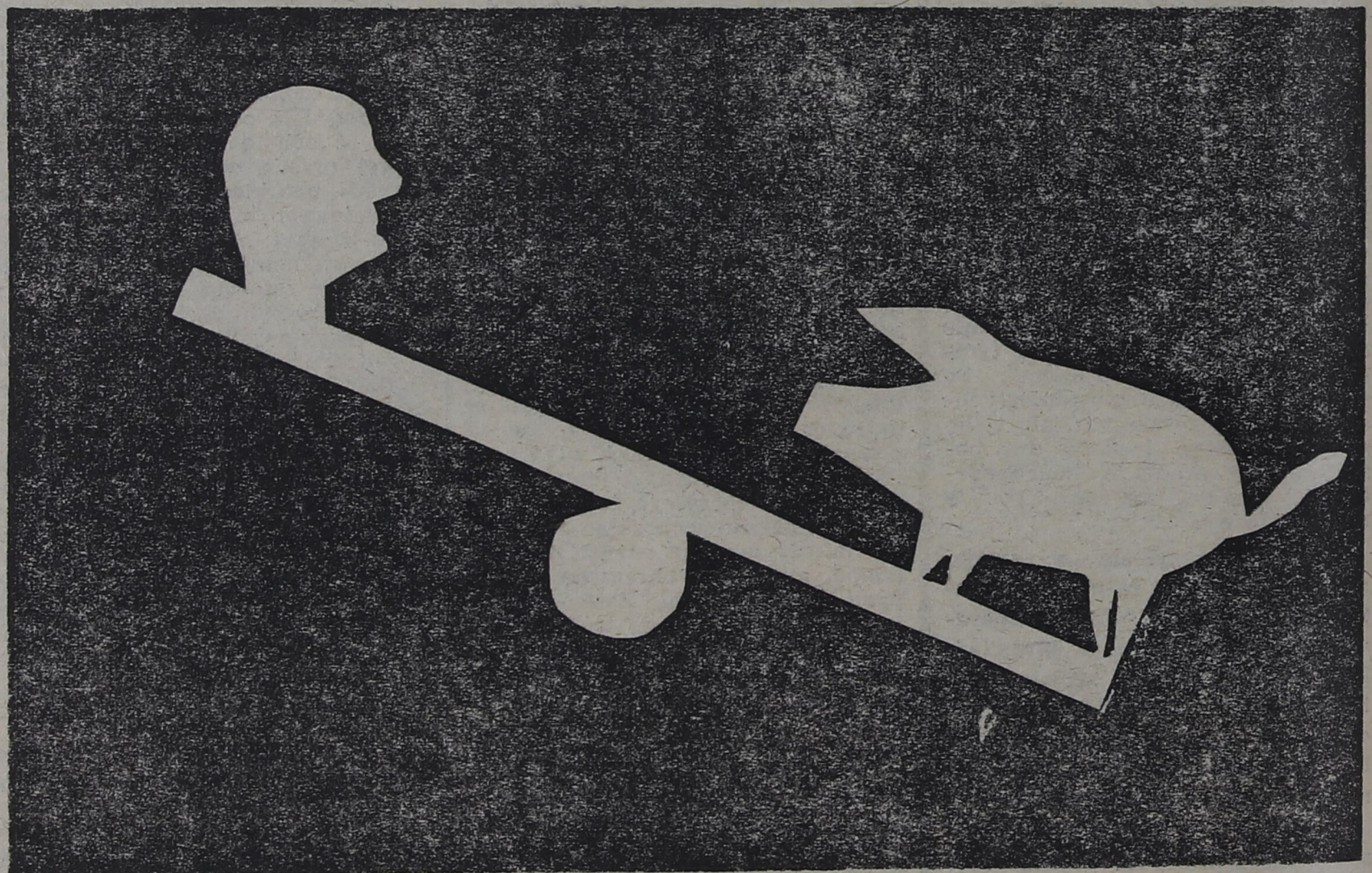
Konflikty rodzą się już na posiedzeniach Zespołu Mięsnego przy Wydziale Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego. Najpierw trzeba wywalczyć jak największe dostawy artykułów mięsnych od zakładów kluczowych. Potem zaczynają się przetargi, kto powinien skorzystać z tej części przetworów mięsnych, którą udało się wycisnąć od ościenych menażerów. Mięso dzieli ludzi, rodzi nawet uczucia bliskie nienawiści. Wystarczy zapytać mieszkańca Wąsosz, który je wędliny z gesowskiej masarni, co sądzi o zaopatrywaniu Radziłowa w wyroby z Elku, czy też mieszkańca Goniądza, czy nie chciałby poprosić elckiej wędliny dostarczanej do Trzciannego. Prezes geesu, jeśli nie wywalczy przydziału wędlin z tych zakładów, wraca do gminy markotny — uważa to za osobiste niepowodzenie, gdyż zostaje wówczas skazany na dostawy z najbliższej masarni. Wie, co to ozna-

cza — skargi, narzekania i własną bezsilność.

Właśnie w Goniądzu mieszkańcy skarżyli się na jakość wyrobów dostarczanych z rzemieślniczej masarni w Grajewie. Zarząd GS-u wystosował więc w czerwcu br. pismo do Dyrektora Wydziału Handlu i Usług UW, w którym „zwraca się z prośbą o zmianę dostawcy mięsa i jego przetworów i skierowanie naszego przydziału do Zakładów Mięsnych w Elku. Na zebraniach i posiedzeniach mieszkańcy narzekają na jakość i

WIESŁAW KOŁOWSKI

tuczniak na huśtawce



asortyment wędlin”. Pismo nie doczekało się odpowiedzi. Ale tak zupełnie nie zostało pominięte. 12 lipca GS w Goniądzu otrzymał ofertę od grajewskiej Gminnej Spółdzielni, że ich masarnia chętnie służy pomocą i dostarczy swoje wyroby do goniądzkich sklepów. Zaśkozczenie było pełne. W Goniądzu sędzono, że raz na zawsze udało się wyzwoić od grajewskiego dostawcy, który przez wiele lat dostarczał tu wyroby. Otrzeźwienie przyszło szybko, bo tego samego dnia. Zarząd GS-u wysłał pismo do WZSR-u, w którym informuje, że „nie wyrażamy zgody na zaopatrywanie sklepów w mięso i wędliny przez masarnię GS-u w Grajewie”. Protest pozostał bez echa — 1 sierpnia do Goniądza zawiązał dobrze już znany dostawca z masarni GS w Grajewie.

Po dwóch tygodniach spożywania wędlin od tego wytwórcy pytam o opinie klientów.

— Wędlina z prywatnej masarni była przynajmniej sucha, a z tej parówkowej wodę można wylewać.

— Grajewo sprowadza z Elku dobre wędliny, nam daje błoto. Na miejscu wytwarzają, niech tam i jedzą.

— Taką wędlinę należałoby sprzedawać bez kartek.

— Parówkowa powinna być w cienkim flaku, a nie w grubym, od zwyczajnej nie można jej odróżnić. Wiceprezesa GS-u w Goniądzu, Tadeusza Karwowskiego oburza praktyka narzucania dostawców.

— Gdzie są zasady reformy gospodarczej — mówi — przecież to my sami powinniśmy dobierać dostawców, jakich zechcemy. Jest rozdzielnik, ale nasz przydział można by ułożyć gdzie indziej. Odpowiadaliśmy nam na przykład Mońki. Wędlinę produkują lepszą, bliżej tam niż do Grajewa. Ale nie wolno tego robić, bo to inne województwo. Początkowo, kiedy wprowadzono reglamentację, wędliny dostarczać nam miał Elk, a prywatny — do Radziłowa. Później coś się zakręciło i na posiedzeniu Zespołu Mięsnego mówią, żebyśmy uzgadniał dostawy z prywatnym rzemieślnikiem.

Kierowniczka pawilonu spożywczego: — Ja tych wędlin nie kupuję, koleżanki widzę też nie biorą. Od kiedy dostarcza je GS poprawiła się terminowość dostaw, ale jakość jest gorsza i asortyment nie taki, jak zamawiany. Na przykład, na dzisiaj zamówiłam: wieprzowiny — 400 kg, wołowiny bez kości — 30 kg, wołowiny antrykot — 30 kg, kielbasy krakowskiej — 100 kg, starowiejskiej — 100 kg, zwyczajnej — 200 kg, mielonej — 100 kg, szynki wędzonej — 20 kg, boczku wędzonego — 100 kg, słoniny — 100 kg, sadła — 200 kg. Otrzymałam: słoniny — 63 kg, parówkowej — 127 kg, podgardlanej — 20 kg, zwyczajnej — 116 kg. Od kilku tygodni w ogóle nie otrzymuję wieprzowiny.

Niezadowoleni klienci, personel sklepu, Zarząd GS-u. Wiceprezes Karwowski zapowiada, że do końca miesiąca wstrzyma się z interwencją, tak umówił się z dyrektorem Wydziału Handlu i Usług UW. Je-

kładów mięsnych w Elku. Oni do wędlin dodają białko, ja nie. Wędza wędliny gazem, ja drewnem olchowym. Jedno, co można zarzucić, że moja szynka nie ma wydłużonego kształtu i nie jest w siatce. Taką rurę, przez którą przepycha się szynkę, może urządziłbym, ale siatek nie kupię, bo tych ledwie starczy państwowym zakładom, a kradł nie będę. Konkurencja geesu też mi nie strasza, a jeśli będę robił gorzej, to zamknę interes. Zresztą nie prosiłem o produkcję wędlin. Zakład budowałem z myślą o produkcji podrobów: salcesonów, pasztetowej, kaszanki.

— Właśnie takie wyroby powinny być produkowane w rzemieślniczych zakładach, bo wymagają dopieszczenia — mówi zastępca dyrektora wydziału Handlu i Usług UW, Eugeniusz Kosiński. — Trudno jednak zwolnić rzemieślników z produkcji wędlin, jeśli nie nadążają z tym inni dostawcy.

W przyszłości prawdopodobnie w Łomżyńskim zaopatrzenie nie będzie takie, jak dotychczas. Około jednej trzeciej zapotrzebowania na wędliny pokrywać będą kluczowe zakłady mięsne, pozostałą część trzeba będzie wyprodukować w masarniach spółdzielczych i prywatnych. Dotychczasowe wysiłki nie przyniosły jednak efektów w poprawie jakości wytwarzanych wędlin. Sztuczne rozdzielniki nie pozwalają na wybór dostawy. Jednak granice województw nie mogą tworzyć kolejnych barier. Uważam, że najlepszym gwarantem jakości wędlin może być tylko konkurencja. Nie zapowiada się, żeby powstały nowe masarnie. Może jednak powinny one powstawać. Faktem jest, że surowca niewiele. Może, gdy zakłady będą mniejsze, łatwiej będzie wytwarzać smaczniejsze wyroby. Zastanawiam się, jak to się dzieje, że wędliny, wytwarzane przy okazji wiejskich

uroczystości przez prywatnych czy gesowskich masarzy są tak wysokiej jakości.

Rozbudowany jest system kontroli wytwarzania wyrobów — mięsnych. Wielokrotnie spotkałem się z wnioskami, że to za mało kontrolować wyrób u producenta. Trzeba być i w sklepie. Wiele do powiedzenia miałyby tu ruch konsumencki, którym w ośrodkach z największą nawet ilością skarg — nie słychać.

Nad zaopatrzeniem w mięso i jego przetwory czuwa Wydział Handlu i Usług UW. Prawdopodobnie problemy zaopatrzenia w mięso zajmują sporo miejsca. Ale przecież ci sami ludzie muszą dbać o zaopatrzenie we wszystkie pozostałe artykuły.

Rynek mięsny w naszym województwie jest szczególnie złożony. Proponuję powołanie pełnomocnika do spraw mięsa. Niech zajmie się tylko tym problemem, śledzi los każdego łomżyńskiego tuczniaka. Niech przynajmniej on będzie uświadomiony, co dzisiaj produkuje masarnia w Ciechanowcu, a co jutro będzie z tego w sprzedaży w Nurze i czy odpowiada to złożonym zamówieniom i jakościowym normom.

Fot. GABOR LÖRINCZY



drodzy młodzi Czytelnicy

Skończyły się wakacje. Kiedyś, nie tak dawno temu, ostatni ich dzień przebiegał pod hasłem ŻEGNAJ LATO. Następny zaś, pierwszy dzień nauki, miał wypisane WITAJ SZKOŁO. I był to dobry zwyczaj, chociaż 31 sierpnia lato jeszcze się nie

kończy, a wielu uczniów przechodziło do szkoły przed 1 września, żeby pomóc np. posprzątać klasy, odświeżyć zbiory biologiczne, poukładać mapy. Pierwszy dzień nauki był wyjątkowy, jedyny, co roku inny.

KONTAKCIKI razem z Wami

mówią: „WITAJ SZKOŁO” a Wam mówimy: „WITAJCIE W NOWYM ROKU SZKOLNYM”. Życzymy, aby był pracowity, ozdobiony piątkami, serdeczności przyjaźniami i zadowoleniem Waszych nauczycieli. Czy musimy dodawać, że uszczęśliwicie tym swoich rodziców?

Chcemy dotrzymać obietnicy i co kilka tygodni drukować

Waszą gazetę. Liczymy na Wasz udział w jej redagowaniu, szczególnie autorów gazetek szkolnych, miłośników książek i wszystkich, którzy mają coś ciekawego do powiedzenia.

Czekamy na Wasze listy. Napiszcie o czym chcielibyście przeczytać w KONTAKCIKACH i czy tytuł Wam się podoba.

7

KONTAKCIKI

2



halo! czy Zbigniew Nienacki?

— Tak. Szczerze mówiąc jestem niezmiernie zaskoczony telefonem z Łomży. Jak mnie tu, w zagubionym wśród lasów, Jerzweldzie odnaleźliście?

— Sprawa była dość prosta — pomogły nam diabelskie moce. Przecież niegdyś sam Pan o nich pisał w swojej książce „Niesamowity dwór”. Czy teraz też pisze Pan dla dzieci?

— Oczywiście. Jest to kolejna powieść z cyklu przygód pana Samochodzika. Książka nosi tytuł „Pan Samochodzik i człowiek z UFO”. Będzie to już dwunasty tom z tego cyklu. A w najbliższej przyszłości zostanie wznowiona przez olsztyńskie

wydawnictwo „Pojezierze” całość „Samochodzików”. Sądzę, że chociaż to przyniesie Wam radość.

— Na pewno. A wracając do „Pana Samochodzika i człowieka z UFO”, czy będzie to rzecz o perypetiach Samochodzika z kosmitami?

— Owszem. Mój bohater miał ich już tyle, że czas najwyższy i na te najbardziej niesamowite. Ale to już tajemnica. Chciałbym, aby moja nowa powieść Wam się podobała.

— Dziękujemy za rozmowę. I do spotkania na szlaku nowych przygód.

ADELA DROZDOWICZ

nieuczesane słówka

Dziwny tytuł, każdy powie — Owszem, włosy są, na głowie. Lecz na słowach? Pierwsze słyszę. Słowa są na pewno lyse.

Też nie — biorąc rzecz dosłownie, bo tak tylko jest w przenośni. Żeby było mądrzej, ładniej, żeby zapamiętać łatwiej.

Mnie najbardziej razi, śmieszy słówko modne dziś wśród dzieci, kiedy zamiast „oto” — „a loo” wszędzie nam zapanowało.

A loo kwiatek, a loo butka a loo — lokiec, a loo — pszczołka. Oto jak szpecimy mowę tym nieuczesanym słowem

Do młodych czytelników: Jeśli takie rozczochrane inne słówka są Wam znane, przysłajcie je do redakcji. Tu poddamy je kuracji.

mędrzec

Pewien starzec miał wielu synów. Pewnego dnia zwołał ich wszystkich, dał jednemu z nich strzałę i powiedział: — Przełam ją na połowę i przekaz bratu. Syn przełamał strzałę i kawałki podał bratu. Ten je ułożył i po przełamaniu na cztery części przekazał trzeciemu bratu. Lecz ten, zamiast przełamać je, powiedział:

— Wybacz mi ojcze, ale na przełamanie ich nie starczy mi sił.

Wówczas starzec wstał i powiedział:

— Synowie moi, strzała, którą łamaliście, podobna jest do was. Jeśli każdy z was będzie żył oddzielnie, byle kto was złamie. Jeśli będziecie żyć razem i w przyjaźni, to was nie złamie żadna siła. Wasze życie będzie piękne i szczęśliwe.

Tłumaczenie:

STANISŁAW ZIELIŃSKI

HENRYK GAŁA

tajemnica chmur

— Wyjedźmy za miasto — tato — powiedziała Pela skacząc przed drzwiami mojego pokoju. Za nią zjawiała się Mela. — Tato, widziałeś — spytała z podziwem w głosie — jak Pela skoczyła na jednej nodze?

— Widziałem. — Tatusiu, popatrz jak ja skoczę. Odłożyłem cieniutką żyłkę i małe, złociste haczyki. — No, patrz. — Mela skoczyła i oczywiście skok się nie udał. W dalszych próbach przeszkodziła pani M. czyli Mamuśka, która przyniosła z kuchni dwie filiżanki kawy.

— Co robisz? — spytała. — Przygotowuję wędki. — A my? — duet Peli z Melą był nadzwyczaj zgodny.

— Co, wy? — Pani M. spojrzała w stronę dwóch dziewczęcych główek. — Wy przestańcie szaleć. Pod nami mieszkają ludzie. Pani M. miała wielki wpływ na dziewczynki. Były dni, kiedy nie robiły niczego bez pytania o pozwolenie. Zachowywały się jak przy królowej. Myślały, że naprawdę uważały ją za królową, która przybyła na pewien czas, aby później zabrać je do swojego pałacu.

— Wejdźcie wreszcie, bo przyrośnięcie do drzwi — powiedziała pani M.

— Mamo, jaka ty jesteś kochana — Pela jednym susem znalazła się obok stolika. — I tato też!

— Uważaj, kawa! — zdążyłem zawołać i przytrzymać drugi z rozłożystych foteli, który zachybotał gwałtownie pod wskakującymi nań dziewczynkami.

— Dziewczynki... — cicho, ale wyraźnie powiedziała Mamuśka — Córeczki... — dodała i w tej chwili w pokoju zrobiło się tak cicho, że słyszałem jak w kawie rozpuszcza się cukier. — Przez chwilę bądźcie spokojne. — poprosiła. Z powagą pokiwwały głowami.

I dopiero teraz, kiedy zneruchomiał, ktoś bardzo spostrzegawczy, że zdumieniem zacząłby się domyślać, że Pela i Mela to bliźniaczki.

Owego dnia chcieliśmy z panią M. naradzić się, jakie prezenty kupimy naszym bliźniaczkom na ich piątą urodzinę. Nic z tego. Mela patrzyła na mamę takim wzrokiem, że Pela przestała nawet machać nogami przewieszonymi przez poręcz fotela.

— Co chcesz córeczko? — Wyjedźmy za miasto — prosiła Mela.

— Tak, tak, tak — potakiwała podskakując Pela.

— Zgoda — powiedziałem i Peli ani Meli nie było już na fotelu — Zbierajmy się — powiedziałem do Mamuśki.

— A co z prezentami dla nich?

— Może kupimy coś po drodze?

— My już schodzimy — usłyszałem Pele.

— Zaczekamy na dole — to był głos Meli.

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

magazyn dla dzieci



tajemnica chmur (2)

— Zabrałyśmy wszystko — zawołały razem. Lekko trzasnęły drzwiami. Pojechaliśmy drogą, którą można dojechać na Mazury. Tam, gdzie jest tyle jezior i wielkie lasy. Minęliśmy dwie wielkie rzeki, ale do Mazur nie dojechaliśmy. Był to tylko niedaleki wyjazd za miasto.

Za drugą rzeką, skręciłem z głównej drogi w boczną. Potem w jeszcze jedną i tak dotarliśmy do bagnistego rozlewiska. Kiedy wjechaliśmy w rzadki las, siedzące z tyłu pasażerki ożywiły się na widok niecodziennego krajobrazu.

— Czy tu jest powódź? — z przejęciem spytała Mela.

— Coś ty, to jest... To... no... — tym razem Peli nie wiedziała, co powiedzieć.

— To jest bagno — wyjaśniła Mamusia. — Ziemia zawsze zalana wodą, nasiąknięta, rozmokła.

— Błoto? Takie wielkie błoto? — upewniła się Peli.

— Tak, tylko błoto wysycha latem, a bagno nigdy.

— Zaraz obejrzymy je z bliska. Tylko proszę bardzo uważać. Nie odchodzić od nas, bo można utonąć w bagnie. — Kończąc te słowa, znalazłem odpowiednie miejsce, zjechałem na pobocze drogi i zatrzymałem samochód.

Mamusia wysiadając znalazła grzyba.

— Jaki piękny — zawołała Mela.

— Niestety, pewnie do niczego — mama rozłamała brązowy kapelusz.

— Ojej, całkiem spróchniały, szkoda, prawda? Może jeszcze znajdziesz innego — Mela koniecznie chciała pocieszyć mamę.

— Znalazłam czerwone jagody! — usłyszeliśmy głos Peli. Zanim zamknąłem samochód a mama z Melą zamieniły kilka słów na temat robaczywego grzyba, druga bliźniaczka zniknęła.

— Żeby to nie były wilcze jagody — powiedziała zdenerwowana pani M. — Jeszcze się zatruję. — I szybko poszliśmy w głąb lasu.

— Gdzie jesteś, Peli? — zawołałem. — Pójdę przodem — dodałem wyprzedzając Melę i mamę. — Hop, hop — nawoływałem — gdzie ty?

— Tutaj — usłyszałem nagle, prawie spod stóp. — Tu jestem. Zobacz, ile ich jest, zobacz — mówiła Peli. Kucając w wysokiej trawie zrywała małe, wyrastające z poszycia krzaczki oblepione czerwonymi kuleczkami.

Były to czerwone borówki, jadalne, chociaż bardzo kwaśne na surowo. — Rzeczywiście dużo tu tych borówek, ale dlaczego sama odeszłaś od nas.

— Przepraszam, ale nie chciałam — głos Peli był pełen skruchy.

— Dobrze już, wstań i chodźmy.

— Tato, tylko nie krzycz, ale ja nie mam jednego kalosza.

— Dlaczego?

— Bo to nie chce mi oddać.

— Co?

— Błoto. Zabrało mi kalosz i trzyma, o tam... — wstała podpierając się jedną stopą w mokrej i pobrudzonej skarpecie.

Wyciągnąłem z bagna nieszczęsny kalosz i bez słowa podałem go córce.

Mama i Mela znalazły nas zbierających borówki. Potem znaleźliśmy jeszcze dwie porośnięte nim polanki, tak że wracając do samochodu nieśliśmy kieszenie pełne jasnoczerwonych kulek.

— Usmażymy je z cukrem, dodamy gruszek i będzie wspaniała konfitura — powiedziała mama. — Nie jadłyście jeszcze takiej. Peli ma szczęście, pierwsza znalazła borówki.

— Tak, ma szczęście — powiedziałem i chciałem coś dodać o kaloszu, ale poczułem w swojej dłoni małą rączkę Peli. Tym razem na czele naszej rodziny maszerowała Mela. Wsiadliśmy do samochodu i ruszyliśmy z powrotem.

Za pierwszym łukiem drogi wyjechaliśmy wprost na słońce, które obniżywszy się ku zachodowi, świeciło w oczy.

Byliśmy już niedaleko wyjazdu na główną drogę, kiedy Mela, w chwili zupełnego milczenia w samochodzie, powiedziała głośno: — Ojej, słońce wpadło do dołka! — Na moment otworzyła oczy i zamknęła je znowu. — Widzieliście? Wpadło i nie wyskakuje.

— Coś ty — niepewnie zaprzeczyła Peli — do jakiego dołka? —

Od wielu lat obok zwykłych, powszechnie znanych zagadek powstają i zyskują popularność zagadki figlarne. Różnią się one od swych zwyczajnych siostrzyce takim podaniem tekstu, który odwraca uwagę od prawidłowego rozwiązania. Cały właściwy sens takiej zagadki ukryty jest w grze słów, w sposobie wymawiania, w jakiejś „pułapce”, w żarcie.

Wydaje się, że istotę zagadki figlarnej najłatwiej będzie zrozumieć na przykładzie:

Kto na raz zakłada 50 butów?

(Mogłaby stonoga, ale ona przecież butów nie używa. Po prostu 25 osób).

Jakie jajka są podobne do roślin?

(Sadzone!)

Dla wszystkich czytelników, którym ten rodzaj zagadki przypadł do gustu, przeznaczona jest „figlarna drużyna”:

1. Co znajduje się między ogniskiem a namiotem?

2. Ile czerwonych buraków wejdzie do menażki?

3. Co się stanie z kawałkiem młodego drewna dębowego, jeżeli wrzuci się je na pięć minut do gorącej wody?

figlarna drużyna

4. Na ścianie wisi, a jednocześnie spada. Co to?

5. Ile ugotowanych na twardo jajek (świeżych) można zjeść na czczo?

6. Co trzeba zrobić, aby odciąć gałąź, na której siedzi wrona, ale tak ażeby jej nie przestraszyć?

7. Jak daleko w las może pobiec zając?

8. Jakich kamieni nie znajdziecie w jeziorze Bajkał?

9. Ile dni zawiera sam gruzdzeń?

10. Jak barszcz kipi w małym garnku?

11. Kto był i jest najznakomitszym malarzem na świecie?

12. Jakie miasto w Polsce najczęściej zabawia się w chowanego?

13. Co jest większe bez głowy niż z głową?

14. Dlaczego wrona leci do lasu?

15. Kiedy najczęściej dziurek patrzy z ziemi w górę?

16. Siwy wół wypił wody dół?

17. Malutkie, krzywiutkie, a całe pole zgoni?

18. O wszystkim opowiada, a języka nie ma?

19. Jaki zegarek pokazuje właściwy czas tylko dwa razy na dobę?

20. Jakie miasto w Polsce jest idealnie okrągłe?

21. Co można zobaczyć z zamkniętymi oczyma?

22. Z jakiej menażki nie można się napić?

23. Na jaką chorobę nikt jeszcze na ziemi nie chorował?

24. Jakimi nutami można posłużyć się przy mierzeniu odległości?

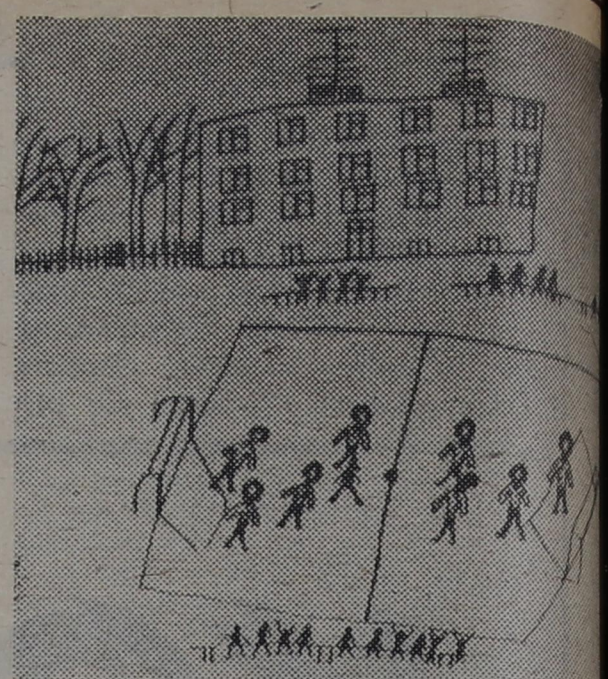
25. Rosła na polu dzika grusza, dąb i wierzbą. Na jakie drzewo schroni się wrona podczas ulewnego deszczu?

lis i psy

Biegł lis przez pole. Nagle wyskoczyły psy i pobiegły za nim. Lis zdążył uciec i schować się do swojej nory. Siedzi w norze i mówi sam do siebie:

— Uszki, uszki, co wyście robiły?

— Uciekałyśmy, uciekałyśmy, żeby psy lisa nie dogoniły.



— Nóżki, nóżki, co wyście robiły?

— Uciekałyśmy, uciekałyśmy, żeby psy lisa nie dogoniły.

— Oczy, oczy, co wyście robiły?

— Patrzyłyśmy, patrzyłyśmy, żeby psy lisa nie dogoniły.

— Ogonie, ogonie, co tyżes robił?

— O pnie i kępy traw się czepiałem, czy psy już lisa dopędzają, patrzałem.

— A to ty jesteś taki? A więc psy, bierzcie i jedźcie mój ogon.

Psy złapały ogon i wyciągnęły z nory całego lisa.



lis i żuraw

Lis i żuraw żyli po sąsiedzku; lis miał dom w lesie, żuraw — na polu, w pobliżu rzeki. Pewnego razu przyszedł żuraw w gości do lisa. Lis spojrzał na żurawia i powiedział:

— Dzień dobry sąsiedzie, jak widzisz, jem obiad. Mam tylko kaszę, ale jedz, proszę.

Postawił talerz z kaszą. A że żuraw ma bardzo długi dziób, jadł więc nim kaszę bardzo powoli. A lis bardzo szybko zgarbował wszystko swoim językiem i sprzątnął talerz. Żuraw podziękował i głodny wrócił do domu.

Następnego dnia lis przyszedł w gości do żurawia. Ten postawił wysoki dzban z mlekiem i powiedział:

— Drogi sąsiedzie, mam dzisiaj tylko mleko, ale zjedz ze mną, proszę.

Dzban był wysoki, wąski i lis nie mógł pić — tylko tyle, na ile sięgnął językiem. Nie podobało mu się to okropnie. Widząc to żuraw, powiedział:

— Posłuchaj, miły lisie, ty też w taki sposób mnie ugościłeś. Dlaczego więc taki sposób gościny ci się nie podoba?



jak to z ryżem było

Widzieliście zapewne w telewizji, ile mozolu i trudu wymaga uprawa ryżu. Podobno ryż w dawnych czasach wyglądał zupełnie inaczej. Opowiada o tym baśń z Filipin.



Ryż uprawiali ludzie latwo. Plony były obfite, bowiem każda łodyga dźwigała jedno, ale za to bardzo duże ziarno. Ziarna ryżu wymagały jednak, by na specjalnej uroczystości każdego roku dziękować im za obfitość plonów. Po jej zakończeniu ziarna same toczyły się do spichrzów i układały w pryzmy. Ludzie i tu musieli spełnić jeden warunek: droga do spichrza musiała być wymieciona czysto. Pewnego roku jedna z rodzin przygotowywała się do święta ryżowych plonów. Mąż poszedł dziękować ziarnom, a żona zabrała się do sprzątania obejścia. W pewnej chwili oparła się o miotłę i zaczęła rozmyślać, jaki strój włoży na tę okazję, by wyglądać jak najpiękniej. W zamysleniu mijaly jej godziny. Nagle poczuła, że coś trąca miotłę. Ocknęła się i z przerażeniem spostrzegła, że do obejścia wtoczyły się już Ziarna Ryżu. Gdy dotknęły jednak brudnej podłogi, przestały się toczyć i rozprysnęły się na niewielkie cząsteczki. Kobieta zaczęła lamentować, ale już było za późno. Obrażony Ryż krzyknął: „Niewdzięczni ludzie, będziecie teraz sadzić żdźbło za żdźbłem w błocie i z wielkim trudem zbierać ziarno do ziarnka”. I tak się stało.



ROXANA, lat 14: — Pierwsza obozowa noc była straszna. Spanie w namiocie, w środku lasu, ciemność i pohukiwanie sów. Sowy straszły najbardziej. Nie mogłam spać.

BEATA, lat 14: — Ja też nie spałam i dziewczyny w moim namiocie tak samo. Rozmawialiśmy długo, myślałyśmy o tym jak będzie, chciałyśmy by było wspaniale, by spotkały nas jakieś fajne przygody.

ROXANA, lat 14: — I przygoda była od razu drugiego dnia. Przypadło nam w przydziale sprzątanie łazienki i ostre szorowanie muszli i umywalek.

LIDEK, lat 11: — A ja musiałem uczyć się ścielić łóżko. W domu tego nie robię, na obozie jestem pierwszy raz, ale jak wszyscy to wszyscy. Teraz już sobie radzę.

TOMEK, lat 11: — Co tam łóżko. Najgorzej było z tym totemam. Wybraliśmy sobie nazwę zastępu „Ogniki” i nijak totem nie chciał nam wyjść. Po wielu podchodach coś jest, bo chyba teraz przedstawia głowę Ognika i pochodnię.

IWONA, lat 11: — A i z ułożeniem piosenki nie szło wam najłatwiej, przecież pomogły wam Mrówki.

wiadomości

sprzed namiotu

LIDEK, lat 11: — To co, ale teraz mamy dobrą:

Nazywamy się Ogniki,
Podpalamy też patyki,
Skaczemy do góry,
By podglądać chmury.

ANIA, lat 11: — Niby tacy odważni, ale jak chciałyśmy wywoływać duchy, to wszyscy się bali.

MARIUSZ, lat 11: — To bała się Iwona, bo Kasia powiedziała jej, że to grzech i że duch może zostać.

KASIA, lat 10: — Duch odejdzie, trzeba tylko zbić talerzyk.

RADEK, lat 11: — Ja tam w duchy nie wierzę. My z chłopakami straszymy dziewczyny. Zawsze nocą podświetlamy naszą Kurpiankę, to znaczy kukłę — ona wtedy tak strasznie wygląda, a dziewczyny piszczą...

TOMEK, lat 11: — To tylko żarty, ale druh Zygmunt powiedział, że w rzece, tam gdzie chodziliśmy się kąpać, jest potwór. Podobno nawet duży.

BEATA, lat 14: — Druh specjalnie tak powiedział, żebyście nie wchodzili za daleko do wody.

DAREK, lat 11: — Od razu tłumaczysz druha, bo też się w nim kochasz. Wszystkie dziewczyny kochają się w druhu Leszku, Adamie, no i Zygmunście.

MALGOSIA, lat 14: — Oj, wcale nie. To wy mówicie, że druh Leszek nas kocha i dlatego mamy lepsze namioty. A my przecież nic nie robimy. Zresztą, ile dziewczyn może równo-

ześnie kochać jeden mężczyzna! A o was i tak wszyscy wiedzą, że kochacie się cicho w druhninie Wandzie.

LIDEK, lat 11: — Ciekawe! Wy naprawdę jesteście „Leśne Mrówki, Bigbitowy” i kochacie druhów i koniec. Inaczej nie dałybyście kosza tym chłopakom z obozu rowerowego. Oj, co to wtedy było. Ze mnie zrobili Amora-przekąznika i musiałem nosić listy od rowerowców do naszych dziewczyn.

RADEK, lat 11: — Przekupili cię cukierkami. Mnie od razu zaprosili na ognisko za to, że bym zaprosił dziewczynę. Ale one nie chciały, to zabrałem ciębie. Zjedliśmy wtedy za nasze małodny kielbaski i kartofle — pycha. Potem dostały chustę od chłopaków — sam ją nosilem — ale nie przyjęły. Szkoda. Musiałem odnieść z powrotem. A rowerowcy mówili, że jak dobrze załatwię sprawę, to dostanę czapkę. Nic z tego nie wyszło.

LIDEK, lat 11: — Za załatwienie sprawy chcieli nam też pożyczyć panterki na wartę. Mieliliśmy wtedy wartę w nocy, było nam trochę chłodno, ale to przez dziewczyny. Później chłopaki wyjechali, bo to był taki obóz wędrowny i my nic z tego nie mieliśmy.

JOLA, lat 14: — Chłodek na warcie to nic. Najgorzej, jak jest taka wielka cisza w nocy i nagle spadnie szyszka, albo sowa się odezwie. Wtedy strach przechodzi przez wszystkich. A wieczorami fajne są ogniska. Pamiętacie to ognisko, na którym paliliśmy Króla Śmieci i jego dzieci? Ale było śmiechu.

LIDEK, lat 11: — Ja najlepiej lubię chodzić pływać do rzeki. Woda jest podgrzana, a ryby jakie duże. Mógłbym jeść ryby. O, zamiast krupnika, to najgorsza zupa.

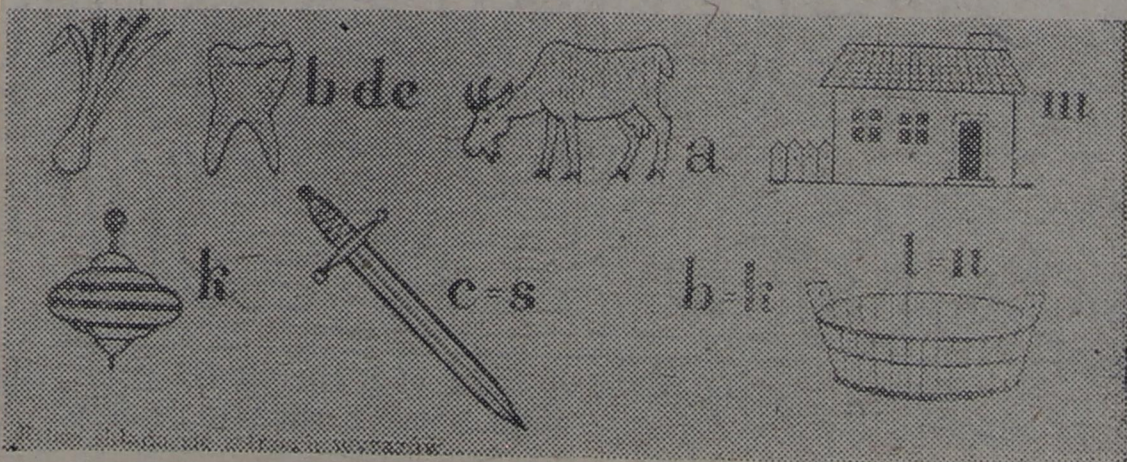
RADEK, lat 11: — Wcale nie można po niej domyć menażki.

KASIA, lat 10: — Tylko surówki są niedobre. Kucharki robią kompoty, paczki, dają truskawki i agrest. Na obiad kartofle. A my gramy w kartofle. Dziewczynki z zewnątrz rzucają piłką w tych, którzy są w środku. Zbijają ich. Ci w środku są gotowani jak kartofle w garnku.

ROXANA, lat 14: — Na obozie jest ze mną Czika, mój pies. Teraz stał się psem obozowym. Wszyscy się z nim bawią, kapią go i karmią. Ze mną tylko śpi w namiocie.

RADEK, lat 11: — A ja śpię z Pikiem, to jest moja świnka morska. Ona wcina jagody, trawę i kapustę. Nie mam z nią kłopotu.

Przysłuchiwała się
MARIA TOCKA



tajemnica chmur (3)

9

Ale spojrzawszy na niebo powiedziała zdumiona: — Acha, nie widać go.

Obie skupiły się przy fotelu mamy obejmując ją za szyję. — Puszczajcie. Udusicie! — wykrzyknęła Mamusia.

Na niebie rzeczywiście działy się rzeczy dziwne. Połowę, a nawet chyba więcej niż pół nieboskłonu zakrywała ciemna chmura. Pociemniało i świat zrobił się bury. Krzaki wzdłuż drogi zgęstniały, drzewa stały się większe, tu i ówdzie wisiał nad ziemią kosmyk szarej mgły. A było to przecież po południu, na początku lata. Pela i Mela, która już otwierała oczy i nieruchomo spoglądała przed siebie, tuliły się do mamy i głaskały, pocieszane pewnie uspokoiłyby się, gdyby mnie coś nie podkuśliło, żeby powiedzieć: — Nie bójcie się, to zwykły Zariok z Czarnej Chmury.

— Co? — spytały bliźniaczki — co, tatusiu?

— Zariok. Chmura-polykacz słońca — wyjaśniłem.

— Widzisz, mamo — wystraszone głosem zatrajkotała Pela — widzisz, wcale nie zwykła chmura. — A Mela, jedną ręką uczepiona matki, drugą wskazywała w stronę granatowoczarnej chmury. — Ja wiem gdzie on ma pysk, wiem, widzę.

— Gdzie? — spytałem. — Acha, ja też wiem gdzie ma paszczę. — Bliźniaczki spojrzały na mnie rozszerzonymi oczami. Myślałem, że udają, więc dodałem: — Zobaczcie, nie ma słońca. Zariok je połknął!

Na to obie rozplakały się, rozbezczały bez odrobiny udawania.

— Nie ma słońca. Mamo... — lamentowała jedna. Co teraz będzie? — chlipała druga.

Pani M. spojrzała na mnie wyznacznie i powiedziała: — Zobaczcie, że za chwilę błysnie słońce.

— Kiedyś, dawno, dawno temu — powiedziała głosem, który dziewczynki nazywały bajkowym — ludzie bali się takich chmur. Ale oni byli inni niż my i żyli zupełnie inaczej.

— Czy jutro nie będzie już słońca — spytała Mela.

— I zawsze będzie ciemno — zacinając się głosem dodała Pela. I obie cicho, płaczliwie poprosiły: — Powiedzcie.

Musiałem coś zrobić, żeby je uspokoić. Chciałem wytłumaczyć, że to nie jest Zariok tylko większa chmura, ale jak tłumaczyć takie rzeczy dwóm wystraszonym, zapłakanym dziewczynkom. Nagle, w jednej chwili wiedziałem już co zrobić. Krzyknąłem — Uwaga! Trzymać się!! — i obejmując je ręką przyhamowałem i skręciłem w bok, na ławkę obok drogi.

— Co chcesz zrobić?! — zawołała pani M., ale nie odpowiedziałem, bo i tak już zrobiłem to co chciałem. Jechaliśmy po łące. Podskakiwaliśmy w naszym maluchu jak na zawrzanym, dzikim koniu. — Zaraz, zaraz będziemy na miejscu. Jeszcze chwile! — wykrzykiwałem przez piski Peli i Meli oraz powtarzane coraz głośniejsze przez panią M.: — Uwaga, uwaga!

Przed nami płynęła rzeka. Staliśmy. Byliśmy na miejscu. Uprowadzając wszystkie pytania, szybko wyskoczyłem z samochodu i powiedziałem: — Tutaj rozpalamy ognisko. Żeby przepędzić Zarioka. Zgoda?

— Tak, tak! — zawołały dziewczynki, zapominając o lżach i strachu i spiesząc gramoląc się z malucha.

— Naprawdę chcesz palić ognisko? — spytała pani M., ale widać było, że sama ma na to wielką ochotę.

— Trzeba im zrobić przyjemność, no i — głośno zawołałem — przepędzić Zarioka!

Zbierając suche trawy, patyki, poszliśmy w stronę rzeki, gdzie znaleźliśmy mnóstwo drewna — gałęzie, kawałki kory, a nawet cały uschnięty krzak. Kilka razy wracaliśmy oblodowani. Ognisko zapaliło się wspaniale.

— Zapalajmy, słońce już całkiem zniknęło — powiedziała pani M.

— Proszę — obu córeczkom podałem małe żagiewki, które zapaliłem zapalką. — Podpalajcie ognisko.

Pela i Mela tak gwałtownie przysunęły ogień do suchych traw i gałęzi ułożonych w stos, że tylko cu-



tajemnica chmur (4)

dem go nie zgasiły. Ognisko zapłonęło. Początkowo niewielkimi, czerwonymi płomykami, ginącymi w kłębach białego, gryzącego dymu.

— Dokładajcie do ognia tylko suche gałęzie — ostrzegałem widząc zapal cówkę.

Po chwili płonął wysoki, jasny ogień. Rozświetlał łąkę, migotał w rzece, a chyba błyskał nawet w ciemnej chmurze nad nami.

— A masz, a masz! — wrzucałem w ogień coraz większe kawały drewna.

— Pal się jasno! Pal gorąco! — wołałem do ognia, a do dziewczynek: — Wrzucajcie wszystko, niech pali się wielki ogień! — I zacząłem biegać wkoło ogniska. Zaraz dołączyła Pella, a potem Mamuśka i Mela. Krzyčeliśmy: — Masz ogniu, weź to drewno i spal. I bądź jeszcze większy. I przepędź Zariłoka. — Wszyscy czworo trzymając się za ręce tańczyliśmy dokoła ogniska, rytmicznie powtarzając wierszyk. A może to była piosenka?

Słonko, słonko, słonko wróć.

Nie zostawiaj nas.

Ty Zariłoku, słonko puść.

Już najwyższy czas.

Zariłok, Zariłok, Zariłok zły.

Czarnej chmury syn.

Niech w ognisko wbija kły.

I połyka dym.

Niech przepadnie z chmurą tam,

Skąd nie wraca się.

A słoneczko odda nam.

Jasny, piękny dzień.

Ojej, dłużej już nie mogę! — zawołała mama. — Zatrzymajcie się! — Pierwsza stanęła Mela. Zziębła klapnęła na trawę, obok niej mama, a w końcu Pella i ja.

— Zobaczcie! — zawołała nagle Mela — Zobaczcie! Wypuścił słonko!

Zamknęliśmy zdumieni — wokół nas znowu było jasno. Czarna chmura przesunęła się daleko, gdzieś na bok, a tuż nad ziemią jarzyło się pomarańczowe słońce.

Podczas powrotnej podróży usłyszałem rozmowę:

— Czy on może wrócić?

— Kto?

— No wiesz, Zariłok.

— Coś ty, przecież to jest chmura.

— Wiatr ją przepędził i już.

— Ale, czy może wrócić i pożreć słońce?

— Ta chmura? No, nie wiem...

— Tato, dlaczego chmury są czasem takie dziwne — głośno spytała Pella — podobne do różnych stworów? — Czemu zamieniają się w coś innego albo odlatują — dodała Mela.

— To tajemnica chmur — powiedziała mama.

— Tak — przytaknęła Pella.

— Tak — w chwilę później szepnęła Mela.

I więcej na ten temat nie było rozmowy.

Kontakty „Kontakcików”

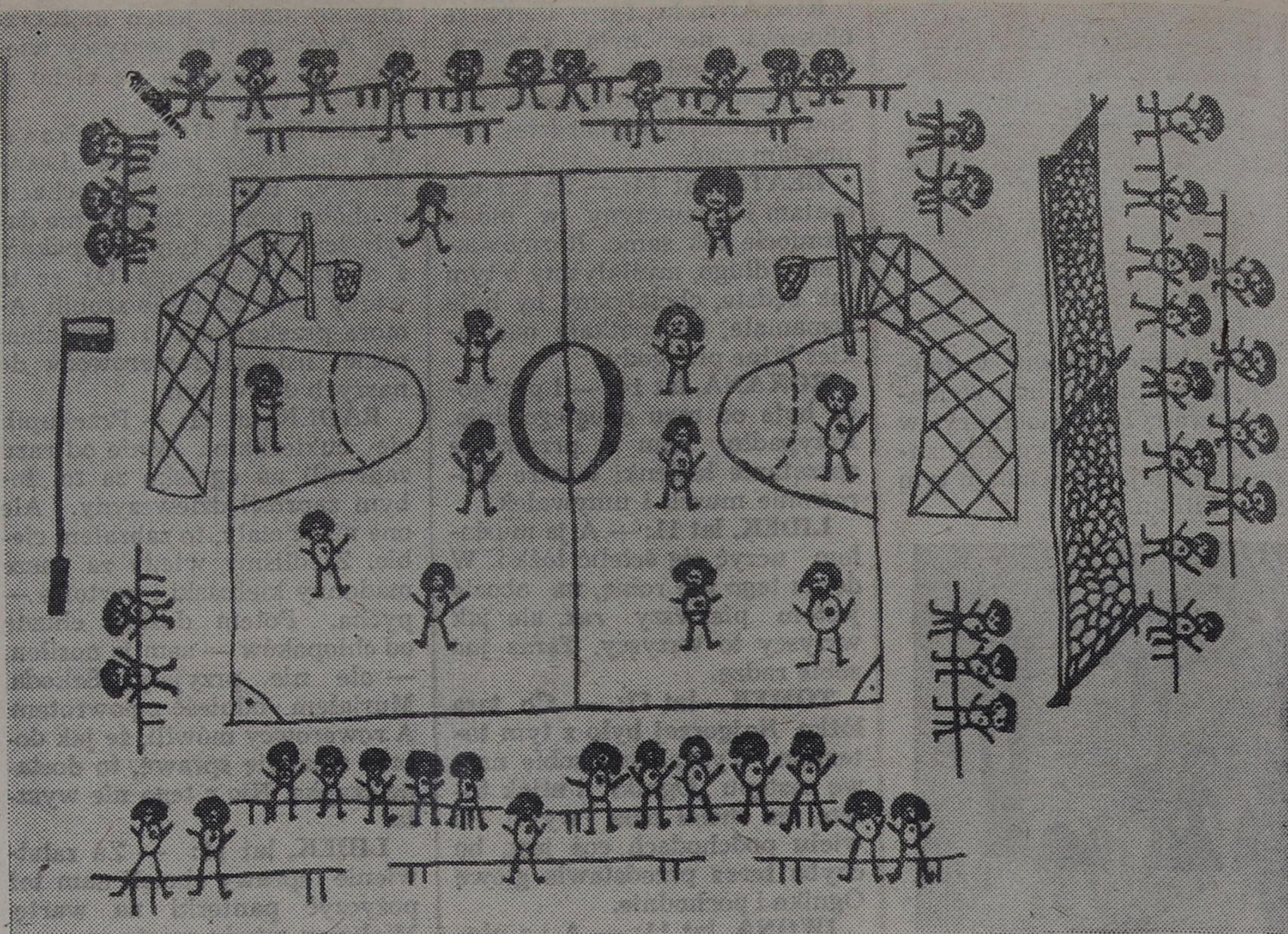
Kochane, najwspanialsze, najdroższe „Kontakciki”.

Wasi Czytelnicy przesyłają Wam żeglarskie pozdrowienia z wiatrem i deszczem. Za wiatr z góry dziękujemy. Umiecie chyba czarować. Byłoby dobrze, gdybyście wyczarowały nam patent żeglarski bez egzaminów. Ale na taki cud raczej nie liczymy i postaramy się go zdobyć własnymi siłami. Liczymy, że będziecie za nas trzymać kciuki w tym ważnym dniu.

Harcerze z obozu żeglarskiego w Opatowie, a — kto wie — może już za kilka dni żeglarze.

figlarna drużyna (odpowiedzi)

1. Litera „a”, 2. ani jeden, trzeba je włożyć, 3. namoknię, 4. barometru, 5. jedno, 6. poczekać, aż wrota odleci, 7. do połowy lasu, bo od połowy biegnie z lasu, 8. suchych, 9. jeden w nazwie, 10. tak jak w dużym, 11. mroz, 12. Czesłochowa, 13. poduszka, 14. do las do niej nie może, 15. po zniżkach, 16. mroz, 17. sierp, 18. książka, 19. zepsuty lub nie nakrecony, 20. miasto Kolo, 21. gwiazdy, 22. z pustej, 23. na morską, 24. mi-la-mi, 25. na mokre.



zrobię mamie niespodziankę

...i przygotuję pyszną kolację. Bardzo łatwo można zrobić ryż z jabłkami. Sposób przygotowania potrafią opanować nawet dziesięciolatki.

Przygotować szklankę ryżu, kilka jabłek, dwie łyżki masła lub margaryny, trochę cukru. Oplukać ryż zimną wodą. Do dużego garnka, najlepiej tego, który mama używa do gotowania zup, nalewamy wody na wysokość garnkowych uszu. Stawiamy na gazie i czekamy, aż się woda zagotuje. Teraz wrzucamy ryż. Kiedy zacznie się gotować, a poznajemy ten moment po tym, że piana, tak jak kożuch na mleku, zaczyna się podnosić

do góry — trzeba szybko zmniejszyć gaz. Ryż gotujemy 15 minut. W tym czasie obieramy jabłka. Potem bierzemy tarkę do jarzyn z dużymi oczkami. Rozdrabniamy na niej jabłka i wysypujemy do nich trzy-cztery łyżki cukru. Teraz najtrudniejszy moment, bo trzeba uważać, by się nie poparzyć! Bierzemy durszlak, którym mama odcedza makaron i — trzymając uszy garnka przez ścierkę lub specjalną ochronną rękawicę — wylewamy ryż. Czekamy, aż woda odcieknie. Przekładamy ryż z durszlaka do salaterki i łyżką mieszamy z jabłkami. Dodajemy do tego dwie łyżki masła lub margaryny, przekładamy do garnka i wstawiamy do piekarnika. Zapalamy gaz i wypiekamy potrawę 20 minut. Przy wyjmowaniu garnka z piekarnika też trzeba uważać, żeby się nie poparzyć! Rozkładamy ryż na talerzyki, polewamy śmietaną i podajemy mamie, tacie i rodzeństwu.

zartobliwa zagadka

Czy można w jednym namiocie w dziesięciu połowych łózkach położyć jedenastu harcerzy tak, aby każdy z nich spał oddzielnie w swoim łóżku? Nie da rady? Czarodziej potrafi jednak tego „dzieła” dokonać. Oto jego wyjaśnienie.

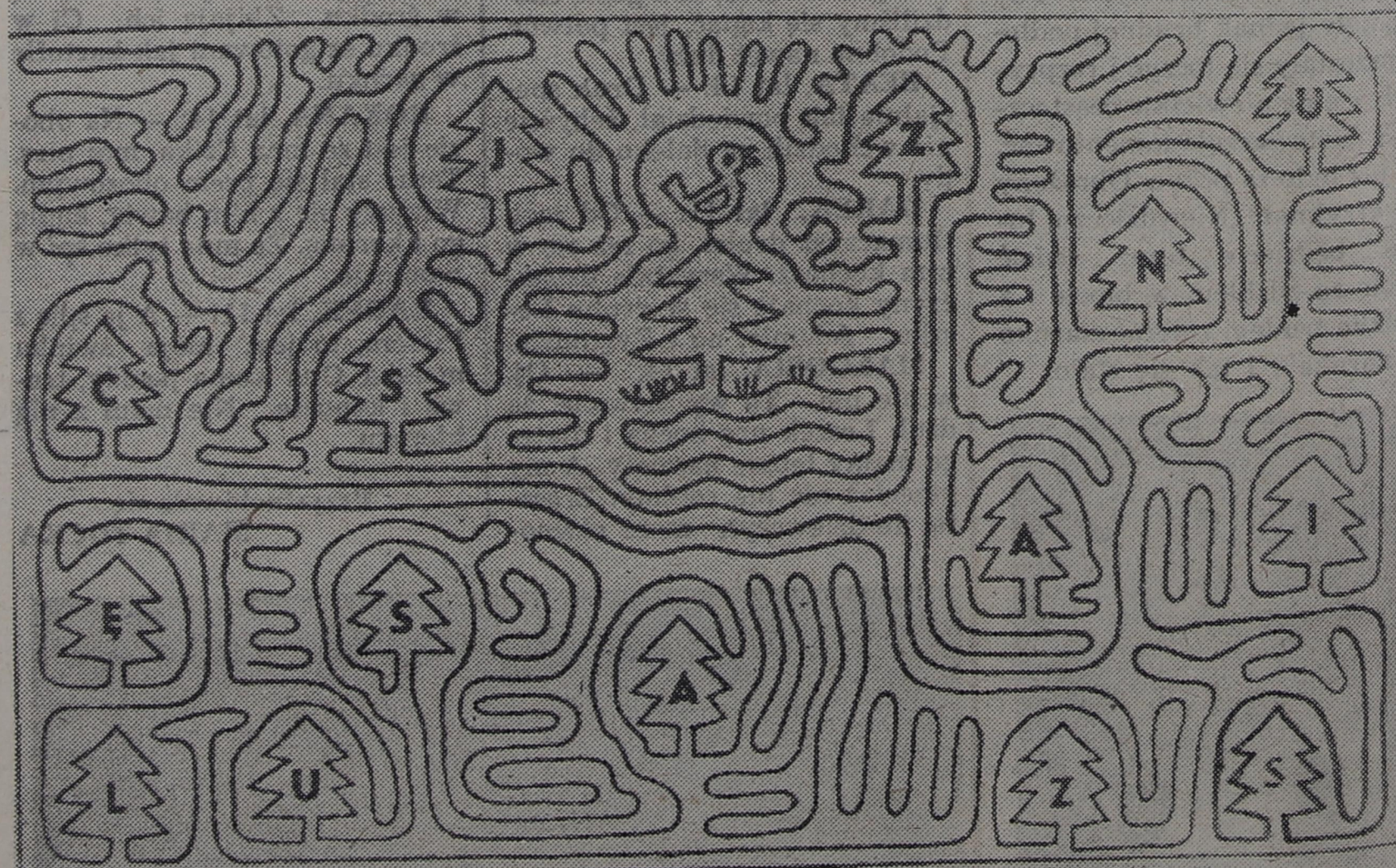
W pierwszym łóżku kładę, na krótko, dwóch harcerzy, w drugim — trzeciego harcerza, w trzecim łóżku — czwartego, w czwartym — piątego, w piątym — szóstego, w szóstym — siódmego, w siódmym — ósmego, w ósmym — dziewiątego, no i wreszcie w dziewiątym łóżku — harcerza dziesiątego. Pozostało wolne łóżko dziesiąte, prawda? Przenosimy więc doń jedenastego harcerza, który na razie leżał w pierwszym łóżku — i oto każdy z jedenastu chłopców chrapie już w osobnym łóżku! Proste?

Nie wierzycie? A dlaczego?

☆

Myślicie, że podamy rozwiązanie? Nic podobnego. Kto chce zostać dobrym czarodziejem, musi się sam trochę pomęczyć. Rozwiązanie zagadki oczywiście istnieje i wcale nie jest takie trudne. Wystarczy pomyśleć.

Spacer po lesie



Zaczynając od drzewka na którym siedzi ptak, idź spletaną ścieżką i po drodze odczytaj hasło.

Szanowny Panie Stanisławie. Chyba tydzień temu zauważyłem, że lasy na horyzoncie za rzeką zsiwiał, całkiem jak we mgle. A tu przecież sucho, posucha, susza i mgła, jeśli się zdarzy to nad samą rzeką tylko. Więc zaniosło się już jesienią — pomyślałem. Wcześniej tego roku. Ludzie u nas za rzeką zadowoleni z pogody sprzyjającej żniwom, ale i posmutniałi, bo ziemniaki zaschły na polach, warzywa dosychają, trawy wypalone. — Bieda będzie — mówią i krzątają się po polach, po zagrodach nie tak energicznie jak poprzednimi laty. Nawet z kółkowymi (o SKR-ach myślę) niedostatkami maszyn i nieterminowością użerają się bez dawnej zajądlności. Myślę, że to nie tyle wpływ upałów, co pewna cecha charakteru nabyta przedwiecznie w obcowaniu z siłami przerażającymi ludzkie możliwości wpływu na nie. A przypominam sobie, jak przed rokiem, we wrześniu, październiku, włócząc się po zaręczynych laskach za grzybami, podziwiałem pięknie uprawione i obsiane pola. Jak nigdy przedtem, wszystkie zagony dokładnie, starannie zasiane, jakby na przekór niewydolnym z braku części i paliwa maszynom, obrobione kołmi i własnymi rekami. Chciałem o tym, co tu mówić, moim zachwyceniu się tą ziemią i ludźmi, napisać wtedy w jednym z listów, ale pomyślałem — poczekaj, nie chwal dnia o poranku, i odłożyłem pisanie do czasu zbiorów. Jedne są nieźle, ale drugie będą marne, biedne. Wiem jednak, że i tej jesieni pola będą jak poprzedniej, a może lepiej jeszcze przygotowane. Pojadę, cho-

aż się kurzy

HENRYK GAŁA

cięż grzybów nie będzie tego roku, w te same miejsca, popatrzę i porównam. Dla samej przyjemności. Nie ma w tym co napisać żądnej uogólniającej metafory, że niby patrzcie i bierzcie przykład; nie jestem chłopoman, choćby dlatego, że urodziłem się na wsi i sam trochę przed laty posmakowałem i roboty i wiejskiego chleba.

Inna to była wieś, nie tylko dlatego, że pod innym zaborem ukształtowana w swojej nowożytności i w różnej od nadnarwiańskiej. Niepodległej, smakującej wolność, wieś inna — o czterdziestu lat naiwniejsza i o tyle samo bardziej wiejska. Logiczny purysta przyczepi się, i słusznie, do poprawności mojego „definiowania”, ale jeśli choć trochę bywa poetą (a są tacy nawet między logiczami) zrozumie, „co chciałem przez to wyrazić”.

Oczywiście, powie Pan, przecież to nie innego, jak zmieniające się obyczaje, czy ogólniej — obyczajowość, a ta, skoro w miastach ewoluuje w stronę dzikości, egoizmu, wyobcowania, musi także w podobną stronę odkształcać się na wsi. Zgoda, Panie Stanisławie, tak się po części stało i dzieje nadal, ale istota, natura życia na wsi jest mimo wszystko inna, musi być inna. Już choćby z tego powodu, że ośmiogodzinny dzień pracy i wolne soboty są tu nie do zastąpienia. Rytm życia wiejskiego jest taki, że nie powiodły się żadne próby jego urbaniza-

eji, nawet jeśli idzie o model wypoczynku, rekreacji i sposobów spędzania wolnego czasu. Dlaczego więc przenosi się (dosłownie jak zaraza) kilka przejawów subkultury miejskiej na obyczajowość wsi?

Z jednej strony jest to forma korpucji, próba przekupienia młodych, aby zostali na gospodarstwie, więc zeszytniały od roboty wiejskie młodzieńcy udają wielkomiejskich motokowbojów, o miękkich ruchach, wyposażonych w odpowiednio malownicze stroje i masę wolnego czasu. Jak niezamierzenie komiczne są wiejskie dyskoteki, gdzie jeden głośnik i dwie pomalowane żarówki imitują wspaniałe, elektroniczne, bezbłędne maszyny do ogłuszania i wprawiania w rytmiczne drgania dowolnej ilości młodych ciał, na dodatek poddają się temu, z braku innych okazji do wyzucia fizycznego, aby utożsamiać się „rozpuścić” w anonimowym tłumie. Rozumiem doskonale, że taka moda musi dotrzeć i rozpląnąć się także wśród młodych ludzi na wsi, tylko nie powinna być tak nędzną imitacją, nie może zmieniać się w subsubkulturę.

Tymczasem, czego domagać się kilku działaczy młodzieżowych (ZSMP) z Łomży na spotkaniu z ministrem Józefem Tejchmą przed IX

Plenum KC PZPR? Ano, głównie zapewnienia pieniędzy i puli urządzeń rozrywkowych dla wiejskich placówek kultury. Czyli imitacji „miastowych” tancbud. Nawet im tego nie wytknąłem, kiedy poza protokółem (ze względu na wiek) tego zebrania zabierałem głos, ale bo i po co. Oni przecież kontynuują „najlepsze” tradycje swoich poprzedników, a tu w Łomży są na dodatek w trudniejszej sytuacji, bo ani wielkomiejskiej (związanej z różnorodnym przemysłem) młodzieży nie ma, ani prawdziwie wiejskiej. Ktoś jednak powinien powiedzieć, że co innego miejska tancbuda, a co innego tancbuda na wsi. Dalej, przestańmy się czarować w sprawie centralnego, gwarantowanego ustrojowo łżenia na różne zabawki, które mają zająć młodzież, bo inaczej się wypaczy moralnie i charakterologicznie zwichni. Dotąd stać nas było na drodze często sprzęty rozrywkowe, ale brakowało paru groszy na ich naprawę i nie wymyśliłmy niczego, aby ich użytkownicy zechcieli je szanować. A są odwieczne na to sposoby. Zainteresowanym mogę je zdradzić bez honorarium. W jednym natomiast zgadzam się z działaczami młodzieżowymi (ZMW): że bez własnej, autentycznej kultury, wieś będzie nadal społecznie kontuzjowana.

Na koniec obserwacja prawdziwie pozytywna. Panie Stanisławie, już w kilku wsiach za rzeką, m.in. w Kalinowie i Piątnicy zauważyłem ludzi budujących płoty wokół zagrod, a w kilku obejściach, przez dwie kolejne soboty sprzątano! Grabie i mioty były w ruchu, aż się kurzyło. A nie zbliżał się żaden obraz ani pochód. Idzie ku lepszemu w naszych stronach.

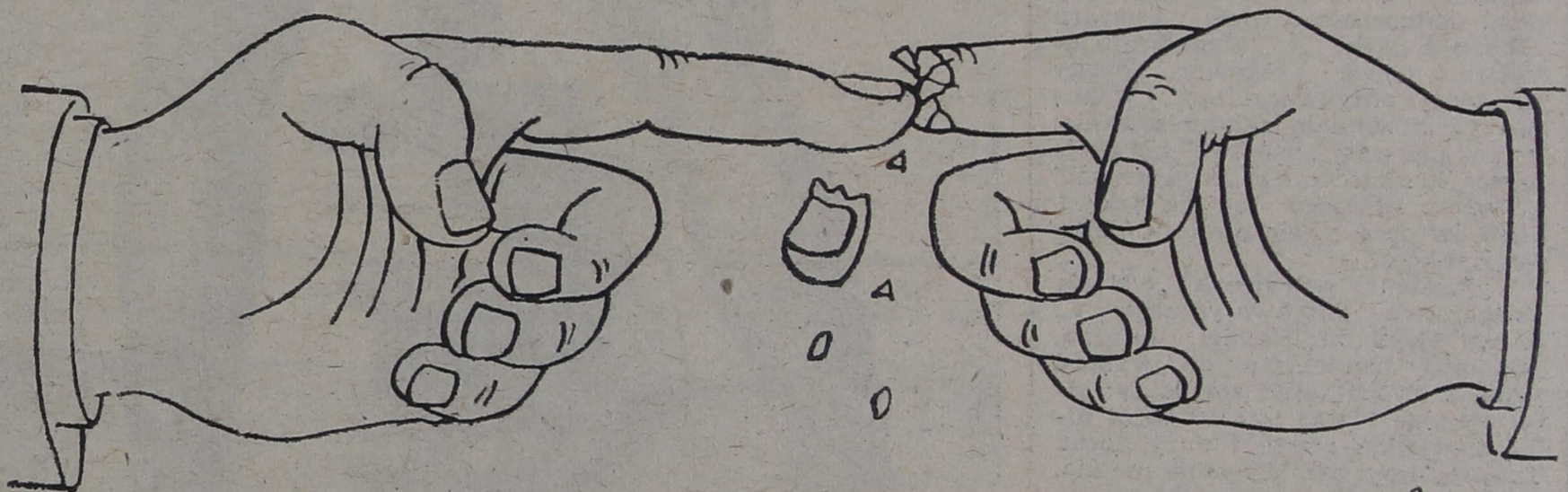
komentarz potyliczny

dedykowany komentatorom politycznym

Księżniczka Anna znowu spadła z konia. Próba zatuzowania tej afery i spłycenia jej do li tylko niefortunnej przejażdżki na narowistym wierzchowcu nie może przesłonić prawdziwej wymowy politycznej tego faktu. Państwo, którego stabilność wewnętrzna zależy od tego, czy ktoś z pary królewskiej zdoła utrzymać się w siodle, nie może budzić zaufania na arenie międzynarodowej. Zaniepokojenie, jakie daje się zauważyć wśród obywateli mieszkających nad Tamizą, ilekroć para królewska wyrusza z Buckingham na harce konne, daje obserwatorom życia politycznego na scenie brytyjskiej dużo do myślenia. Lewicowe partie opozycyjne nie od dzisiaj podnoszą reakcyjny charakter konnych igraszek z losom kraju królewskiego stadła. Wzbudzona opinia publiczna pyta, kiedy jej los przestanie zależeć od upodobań hippicznych następców tronu brytyjskiego. Pytanie to pozostaje bez odpowiedzi. Bez odpowiedzi pozostają również komentarze prasy angielskiej. Szacowny „Times”, piórem czołowego publicysty tego poczytnego pisma Johana McDonalda, dokonał historycznego bilansu strat, jakie korona poniosła z tytułu dosiadanania wierzchowców przez dynastię. „Nie jest to darowany koń, toteż pozwalam sobie zaglądnąć mu w zęby i stwierdzić, iż kosztuje nas więcej niż strata kolonii indyjskiej” — stwierdził J. McDonalds. W podobnym tonie utrzymany jest artykuł wstępny w „Guardianie”, w którym kaprysy konne księżniczki Anny określa się mianem, cytuję — „fatalnego przeżytku”. Rozruchy uliczne oraz fala strajków w przemyśle stalowym, które miały miejsce po upadku z konia księżniczki Anny stanowią tego upadku bezpośrednią konsekwencję.

U nas podobny problem rozwiązać w swoim czasie wysadzając z siodła kogo trzeba. Obecnie zaś, jeżeli ktoś spada, to zapewniam — nie z konia.

ADAM JERZY SOCHA



Podulko

rys. Andrzej Podulko

„Polska krajem ludzi młodych” to w pełni uzasadniony slogan, bo aż 60 procent społeczeństwa stanowi młodzież. Ten fakt tłumaczy, dlaczego w naszym kraju nie może być dobrze, choćby sobie ekipa rządząca ręce po łokcie urobiła. Z młodymi nigdy nie wiadomo, co myślą, choć wiadomo, czego chcą: ciekawej pracy, dużych pieniędzy, samodzielnych mieszkań i atrakcyjnych towarów, najchętniej na kredyt.

Gdy pannie po trzydziestce znudzą się dyskoteki, autostop, studia, pozwoli kończyć z tym wszystkim i wybiera kandydata na męża. Jeszcze 100 lat temu taka niewiasta w balzakowskim wieku „szykowała już córce wyprawę, — dziś dopiero zaczyna „planować rodzinę”.

No i fajnie — świat się starzeje, ludzie młodszy i można się tylko cieszyć, że żyjemy dłużej, zdrowiej i weselej. Ale we wszystkim musi być umiar, zachowane proporcje. Deficyt starszych nie może utrzymywać się zbyt długo. Komu bowiem rozdawalibyśmy hojnie renty i emerytury, dobrodziejstwo naszych czasów? Na kim dzieci praktykowałyby wrażliwość, niesienie pomocy słabym i skrzywdzonym?

Prężne ustawodawstwo sprawnie likwiduje niedoróbkę natury: w ciągu kilku miesięcy dorobiliśmy się potężnej armii czterdziestoletnich emerytów... Na szczęście, pozostała jeszcze wystarczająca grupa 40—65-latków do zajmowania kierowniczych stanowisk. Co by było, gdybyśmy się do końca zreformowali, strach pomyśleć.

Najmłodsza polska emerytka ma 38 lat. Rekord jest do pobicia. Zachęcam, bo to niezwykle praktyczne, życiowe rozwiązanie. Trzydziestoparoletnia mama-babcia nie musi się oglądać na złobek i przedszkole — sama w domowym cieple

z górki do emeryturki

wychowa dziecię, nawet kilkoro. Czego nie wystoi jako matka z dzieckiem na ręku, załatwi poza kolejnością jako emerytka lub rencistka.

Tatusi-dziadek pod czterdziestkę będzie mógł czynnie uprawiać sport i udzielać się społecznie, bez szkody dla pracy zawodowej i domowego ogniska. Nie mogę się doprawdy doczekać, kiedy i ja dorosnę do emerytury. Widzę dla siebie wspaniałe pole — co tam pole! ugor — do społecznikowskiej działalności: czystość i porządek w Łomży.

W dzień uspokajałabym hałaśliwe dzieci, a w nocy — biesiadników. Strzegłabym samochodów przed złodziejami, a trawników przed deptaniem. Chociaż, prawdę mówiąc, coś mnie zawsze telepie, gdy widzę tabliczkę „Sznuj zieleni!” na łysym placu przy przypadkowymi kępami nieporadnej trawki, czy małoestetycznego perzu, bo uważam, że instytucja, która te tabliczki wypisuje, sama się powinna bardziej szanować i na śmiech publiczny nie wystawiać. Trawę natomiast sznuje się głównie w ten sposób, że się ją sieje w dobrej ziemi, potem podlewa, strzyże, dogląda, itp. Po trawie, którą latami tak się szanuje, można deptać, biegać, piknikować — do tego ona właśnie wszędzie na świecie służy. Zależałoby się, że w administracji osiedla zatrudnionych jest parę osób do spraw zieleni i estetyki. Być może nawet dobrze opłacanych fachowców.

A osławione pasy zieleni? Administracyjnie są dwa — zaplanowane od kilku lat — ale jeszcze żaden krzaczek się nie wykrzaczył, nie zarzewiło żadne drzewko. Na dobrą sprawę, prawdziwej zieleni mamy tyle, co warzyw i kwiatów w ogródkach. Gdy chcą odpocząć ci z górnych pięt, muszą biec do przedwojennych parków, stworzonych przez niedorozwiniętych kapitalistów i półobszarników, bez odpowiedniej podbudowy naukowej.

Można też rekreować się na balkonach. Gdy wieczorem siedzę w loggi, wdycham w miarę świeże powietrze i słucham rechotu ostatnich osiedlowych żab, ogarnia mnie perspektywiczny żal, że następnej wiosny już ich nie usłyszę. Gdybym była emerytką, już bym zaczęła pisanie do różnych instytucji, tworzyłabym Społeczny Komitet Budowy Parku, który potem przerodziłby się w Obywatelski Front Przestrzennego Zagospodarowania Miast, Wsi i Osiedli; zjednoczyłby on szarych obywateli w walce o ładniejsze jutro.

Zaczęlibyśmy od pogłębienia bajora, tworząc w ten sposób uroczyste stawy, wokół którego chętnie rosnęłyby drzewa i kwiaty. Wszyscy byśmy pilnowali, żeby nasz parczek nie stał się mini Laskiem Jednaczewskim, gdzie pijacy ścielą się gęsto nad Strugą, walają po ściółce leśnej. Może to lepiej i bezpieczniej, że to tam właśnie, a nie w centrum miasta — nie trzeba otaczać tego „rezerwatu” szczególną opieką. Pamiętajmy też, że zanim wpadnie się w nałóg, pije się z braku ciekawszego zajęcia. Emeryci są wtedy grupą absolutnie uprzywilejowaną: gdy narozrabia i nawet zostanie ukarany nie można mu kary z emerytury ściągnąć. Ech, być emerytem... Jak najprędzej! Już!

KAROLINA

refleksje



Pogląd głoszący, że antykwariaty w małych miastach są zawsze wielkie, sprawdzał się u nas dość często. Do 1972—1973 roku w Zamościu, Przemyślu, Białej Podlaskiej, Jędrzejowie można było dość tanio kupić rewelacyjne publikacje. Nie wspominam tu o dobrze zaopatrzonych antykwariatach krakowskich.

Na początku lat siedemdziesiątych z tych dziwnych sklepów, jakimi są również antykwariaty, powoli zniknęły starodruki oraz tzw. cymelia czyli wydawnictwa rzadko spotykane. Na różnego typu targowiskach i „pchlich targach” pojawił się towar poprzednio nieznany — książka. Niektóre tytuły, jak np. „Życie po życiu” Mooney’a sprzedawano nawet po 1500 zł (cena nominalna 36). W innych dziedzinach trudno byłoby podać przykłady tak spekulacyjnego przelicznika, ale w handlu książką, w handlu a nie w spekulacji, zdarzały się i bardziej korzystne relacje. Znam przypadek, kiedy kupioną we wzorcowni PAN-u za 1 zł książkę Tarskiego „Pojęcie prawdy w językach nauk dedukcyjnych” ktoś, po gorących prośbach odsprzedał młodemu amerykańskiemu doktorantowi za 30 dolarów (oficjalny kurs dolara wynosił wówczas 24 zł, czarnorynkowy — 150). Słowem takiego przelicznika zarobku, jaki zdarza się w handlu książką, próżno by szukać wśród najbardziej intratnych zajęć. Oczywiście, są to przypadki jednostkowe. Ale jeszcze dziś ośmiokrotne zyski przy „targowiskowym” handlu encyklopediami lub słownikami nie należą do rzadkości. Inaczej niż w antykwariatach „Domu Książki”, czy odrobinę droższych antykwariatach prywatnych.

Te ostatnie zresztą „robią bokami” i coraz częściej zamykają gościnne podwoje. Niedawno w śródmieściu Warszawy zbankrutowały dwa. Jednocześnie wiele księgarni „Domu Książki”, w całym kraju otwiera, ponoć zyskowne, działy sprzedaży antykwarycznej. Wzbudza to zrozumiałe zainteresowanie; po raz pierwszy „państwo” nie przegrywa konkurencji z „prywatnymi” sklepami. Dlaczego tak się dzieje? Skąd ów drobny, ale niestety nietypowy sukces?

Wyjaśnia to powojenna historia księgarstwa antykwarycznego i prawa ekonomii. Handel książką, jak każdy handel, ma do wyboru jedną z dwóch zasad sprzedaży: albo wysokie marże i mały obrót albo niewielkie marże i duży obrót. Trzeciej drogi zarobkowania nie ma.

Prywatni antykwariusze najczęściej stawiali się na wysokie marże. Kupowano często za bezcen, a sprzedawano drogo. Należało tylko skupować książki, które „na pewno pójdą”. W tym wyspecjalizowali się starzy antykwariusze, którzy początkowo lekceważyli wydawnictwa aktualne, nie chcąc skupować ani przyjmować w komis publikacji powojennych, wielonakładowych. Dopiero niezaspokojenie popytu na książkę wydaną współcześnie spowodowało włączenie jej do obiegu antykwarycznego. Nastąpiło to na początku lat sześćdziesiątych. Powstające antykwariaty „Domu Książki” zaczęły skupować poszukiwanych powieści kryminalnych (przede wszystkim) i różnego typu bestsellerów. Postawiono więc na duże obroty.

Ceny, chociaż wyższe, nie były wygórowane. Z zasady kupowano poniżej wartości nominalnej, a sprzedawano nieco powyżej. Na egzemplarzu „Domu Książki” zarabiał 20—25 procent, czyli najczęściej kilkanaście złotych. Wzrost niezaspokojonego popytu na książkę pozbawił ten handel cech ryzyka, które stanowi konstytutywną cechę zawodu antykwariusza. Ryzykowali „prywaciarze” i oni najczęściej, mimo fachowości, ponosili klępkę. W „Domu Książki” wyrastały kadry „zastępczych antykwariuszy”. Co ważniejsze: antykwariaty DK zyskiwały sobie uznanie społeczne, gdyż przy skupie płaciły dość godziwe ceny, sprzedając nie pobierały nadmiernych marż. Prywatni antykwariusze w dążeniu do większych zarobków, które często oznaczały jedynie przetrwanie, starali się kupować za grosze, a sprzedawać bardzo drogo. Tu właściwie ceny były zawsze umowne, nawet jeśli w jakiś sposób ograniczały je katalogi. Ograniczenia „górnej granicy” cen odrabiano na dostawcach, starając się kupować od nich jak najtaniej, najczęściej wykorzystując brak rozeznania lub chwilowe kłopoty finansowe zmuszające ludzi do sprzedaży cennych (obiektywnie) książek. Jak już zaznaczyłem w DK

taka procedura nie miała miejsca. Z wielu powodów, a przede wszystkim ze względu na brak wysoko wykwalifikowanej kadry. Jednak zasada — tanio kupić, drogo sprzedać, przyczyniła się do upadku wielu antykwariatów. „Dostawcy” woleli sprzedawać w „Domu Książki”, gdzie oferowano wyższe ceny. Kadra w DK nabywała doświadczenia i wiedzy, tak że dziś już nie można mówić o „półfachowcach”.

białe kruk w potrzasku

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI



Historia ta jest wielce pouczająca, niemal modelowa w kontekście tzw. cen umownych. Producenci kształtujący je postępują jak prywatni antykwariusze. Czy czeka ich identyczny koniec? Tzn.: duża ilość płać i odpływ wysoko kwalifikowanej fachowej kadry?

Wszelkie analogie mogą być zwodnicze. Ostatecznie książka nie jest artykułem pierwszej potrzeby. Niezależnie od naszego chęciństwa i pobożnych życzeń wielu ludzi po prostu obywateli się bez kupowania książek. Natomiast wśród towarów, na które istnieje cena umowna, nie brak niezbędnych, chociaż oficjalnie nie należą do artykułów pierwszej potrzeby. Wynika stąd konieczność rewizji listy artykułów objętych cenami umownymi. Przykład prywatnych antykwariuszy świadczy o tym, że droga „śrubowania” cen czy dużej marży nie wychodzi na dobre samym śrubującym.

Antykwariaty DK zaczynają coraz lepiej prosperować. Ich sieć, uzupełniająca zaspokojenie popytu na książkę, wzrasta. We wrześniu 1981 roku powstał też, niejako na fali, pierwszy antykwariat w powojennej Łomży. Może trochę przesadzam nazywając dział księgarni DK przy Placu Żeglckiego antykwariatem. Sama księgarnia w żargonie fachowym nazywa się „Księgarnia Wydawniczo-Papierowa”, tzn. że oprócz książek sprzedaje materiały piśmiennicze (jeśli są) i poszukiwany papier toaletowy. Pomińmy zawilgości naziemnictwa. Ważne, że w Łomży można kupić i sprzedać dawną książkę. W witrynie sklepu widnieje napis:

„Kupno i sprzedaż wydawnictw antykwarycznych”.

Temu, który to napisał, zapewne nie przyszło do głowy, że nie ma żadnych „wydawnictw antykwarycznych” i że użyte określenie jest czystą bzdurą. Nieraz jedno patetyczne słowo, niewłaściwie użyte wyraz, zdradza amatorszczyznę i całkowity brak kompetencji. Tych cech nie znosi handel, a zwłaszcza „rynek kupującego”, którym ciągle pozostaje handel książką.

Czy jest sens rozpoczynając działalność w branży, w której inni plajtują? Czy można podejmować ryzyko wyłącznie na konto państwa, bez obciążenia ryzykującego? Czy przy niewielkim stopniu fachowości można działać tam, gdzie nie radzą sobie wytrawni fachowcy?

Takie retoryczne pytania nurtały mnie podczas wizyty w łomżyńskim antykwariacie.

Obserwowałem i pytałem. Pani prowadzącej dział sprzedaży antykwarycznej nie było — przebywała na urlopie. Ale jej koleżanka udzieliła mi wszystkich niezbędnych wyjaśnień, które wzbudziły tylko niepokój. Przeraziłem się. Traktuję

„Poezji” z 1982 roku, jeszcze dostępny w normalnej sprzedaży, podręcznik „Działanie i obsługa samochodów”, który został wydany przez Główną Księgarnię Wojskową w 1933 roku i dziś już nikomu nie posłuży. Na półkach „antykwariatu” roi się od książek niechodliwych. Kto kupi „Świat w przekroju 1969” czy „Polska 1976”? Pojedyncze i zdekompletowane zeszyty „Relaxu” mogą liczyć na młodzieżowego nabywcę, ale zdekompletowane książki: drugi tom H. G. Wellsa „Ludzie jak bogowie” czy pierwszy tom „Ziemni błogosławionej” popularnej przed wojną amerykańskiej pisarki Pearl Buck — to po prostu wybrakowane bubble.

— Z początku skupowano wszystko. Trzeba było zapełnić półki — mówi moja rozmówczyni.

Placono więc i za książkami znajdującymi się w normalnym księgarskim obiegu, takie jak Adama Ochockiego „Reporter przed konfesonalem”. Każdy rasowy antykwariusz wie, że taki krok to totalizator. Stawia się na to, że książka zostanie rozsprzedana, a popyt niezaspokojony. Trzeba być znakomitym fachowcem, żeby trafić tego typu decyzją w dziesiątkę.

Przebywająca na urlopie koleżanka mojej rozmówczyni ma dziesięcioletnią praktykę w handlu książkami i artykułami piśmiennymi, co jednak nie jest to samo; wykształcenie uzupełniane obecnie o fachowe kursy. Moim zdaniem nie ma pojęcia o prowadzeniu antykwariatu. Przychodzą ludzie, patrzą. Pierwszy antykwariat wzbudza zainteresowanie i życzliwość. Niektórzy, wyglądający na dobrze zorientowanych, rzucają okiem i mówią: „Ee, niczego nie ma. Chodźmy”.

Pytam, co będzie z książkami, których nikt nie kupi. No cóż, poleżą sobie rok i powędrują do antykwariatów Suwałk i Białegostoku. Na dalsze leżenie. Czy można liczyć na naiwność bliźnich, prowadząc malutkie, bądź co bądź, przedsiębiorstwo zajmujące się tak poważną sprawą jak zarabianiem pieniędzy? Nagle uderza mnie paradoksalność tej sytuacji. Oczywiście, że „sklep” wyjdzie na swoje. Wystarczy, żeby sprzedał trochę zeszytów, papieru toaletowego czy innego poszukiwanego towaru. Ale dział „wydawnictw antykwarycznych” przegrał już finansową batalię. Dokonał za dużo nietrafnych zakupów.

Niektóre książki mogą liczyć na zapaleńców; naiwnych, nieorientowanych, stawiających pierwsze kroki hobbystów. Innym pozostaje czekanie na transport do sąsiednich okolic. W tej sytuacji przysłowiowy „prywaciarz” dawno by splajtował, a pracownika na państwowej posadzie chroni instytucja.

Nie chodzi tu o drobny odcinek, zupełnie nieznaczący gospodarczo. Ani o „przyłożenie” naiwnej kobiecie, która może nawet nie wie, na co się porywa. Potraktujmy sytuację trochę metaforycznie: ile takich antykwariatów jeszcze działa obecnie, w warunkach reformy gospodarczej. Ile większych organizmów całocielowych utrzymuje swoje odrębne, luźno związane z profilem działalności, ale za to w pełni niedochodowe działy? Gdzie skierują plody swoich nierozważnych decyzji?

Moim zdaniem, w działaniach rynkowych lepsza jest powściągliwość i rozważa niż pochopne decyzje oparte o „widzi mi się”.

Dlaczego zdecydowano się na otwarcie antykwariatu? Bo podniesiono ceny książek dawniej wydanych, stosownie do cen książek wydawanych aktualnie. I handel książką stał się nominalnie opłacalny. To wystarczyło do podjęcia decyzji. A to, że obecnie nikt w całej Polsce nie wie i wiedzieć nie może, co będzie z handlem książką w normalnym obiegu księgarskim? Kto troszczyłby się o takie głupstwa. Prawdopodobnie dojdzie do różnego typu wyprzedazy, przecen, do stosowania elastycznej polityki cen. Wówczas nominalna opłacalność przestanie działać.

Wiele przedsiębiorstw, które jeszcze dziś sądzi, że korzystne dla nich ustalenie cen nominalnych rozgrzesza z potrzeby myślenia i wymogów fachowości, będzie musiało zrewidować ten pogląd.

P.S. Posłużyłem się przykładem tak rynkowej instytucji jaką jest antykwariat. Oczywiście zaś cieszę się z pierwszej łomżyńskiej placówki sprzedaży dawnych książek. Moje obawy budzi jedynie fakt, że jej bardzo prawdopodobne bankructwo zniechęci innych do jej pożytecznej działalności.

Fot. GABOR LÖRINCZY

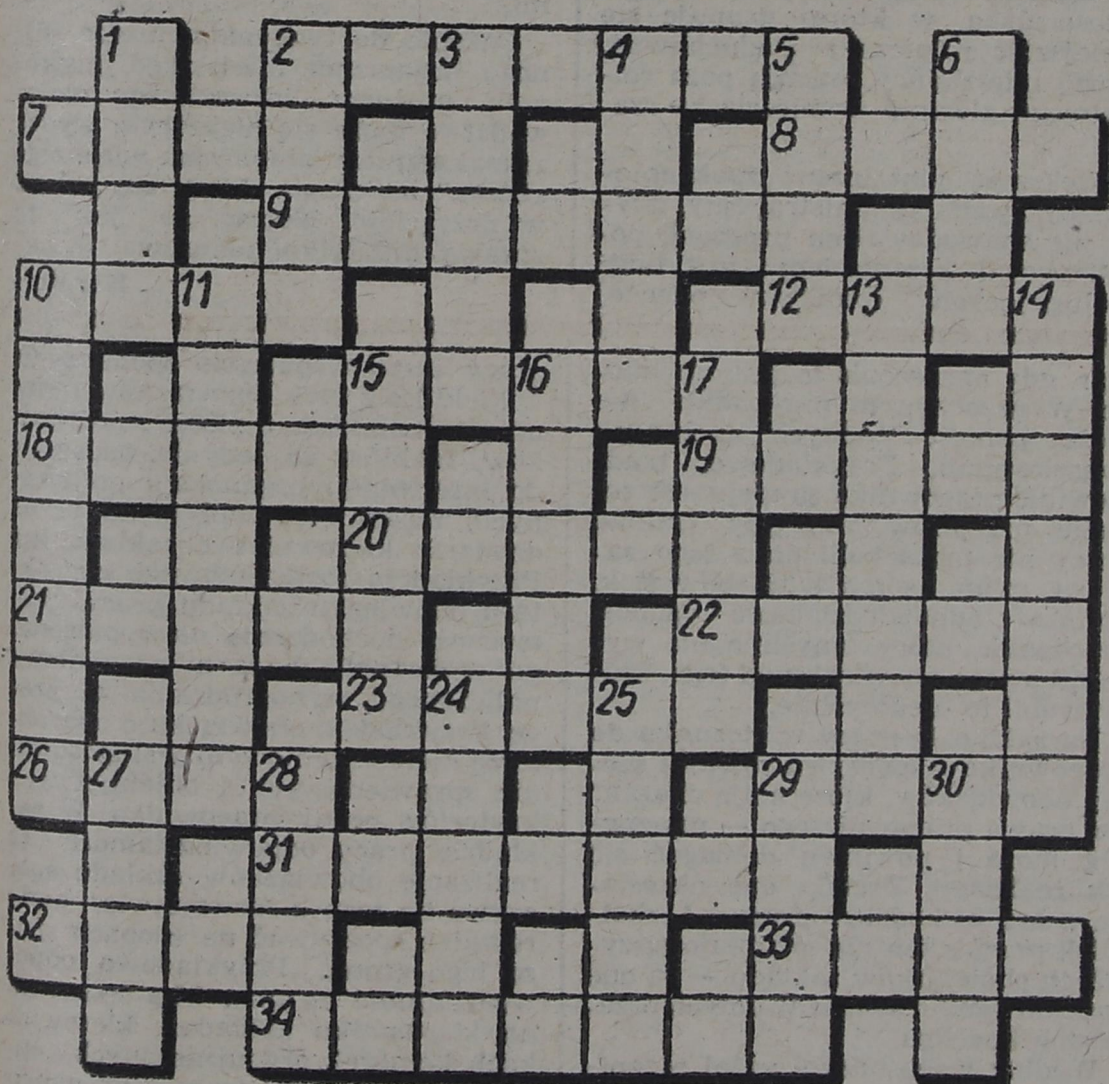
wiszący ogród

Odmierzyć 6 sznurków po 9 metrów, dwa sznurki po 250 cm, jeden sznurek 100 cm. Przygotować cztery drewniane okrągłe korale wielkości dużego włoskiego orzecha, 3 drewniane podłużne korale, kółko plastikowe o średnicy 3,5 cm. Na kółko, trzymane poziomo, nałożyć sznurki podwójnym węzłem szczytowym. Na zwisających szesnastu sznurkach wykonać cztery słupki z węzła falistego, długość 8 cm. Dwa sznurki rdzenia przewlec przez otwór w korale, pozostałe sznurki oplatają korale. Pod każdym korałem wykonać słupki z węzłów tkackich płaskich długości 8 cm, następnie węzeł „perełkę”. Pod „perełką” zamienić sznurki rdzenia ze sznurkami oplatającymi (by utrzymać jednakową ich długość) i wykonać 14 cm słupka węzłem falistym, następnie węzeł zebrowy na czterech sznurkach ukośnie zygzakiem w dół na długość 13 cm. Pod spodem znów „perełka” (pod „perełką” zamienić sznurki, tak aby krótsze były rdzeniem, a dłuższe sznurki — oplatającymi) i wykonać słupki dl. 10 cm z węzłów tkackich płaskich. Węzły te wykonać należy na każdym z czterech sznurków. Następnie robić koszyczek — pojemnik na doniczkę. Na szesnastu sznurkach wiązać węzeł tkacki płaski naprzemiennie w trzech rzędach. Potem zebrać wszystkie sznurki razem i wykonać bardzo ciasną opaskę. Cztery najkrótsze sznurki obciąć pod opaską. Druga część wiszącego ogrodu składa się tylko z trzech słupków — zwisów, wiązanych z dwunastu sznurków. Wykonać słupki węzłem falistym na długość 13 cm. Przez dwa sznurki rdzenia każdego słupka przewlec owalny koral, dwa sznurki go oplatają. Pod korałem słupki z węzła tkackiego płaskiego o długości 8 cm,



następnie „perełka” (pod „perełką” zmienić sznurki rdzenia ze sznurkami oplatającymi) i wykonać 8 cm słupka węzłem falistym i znów „perełkę”, a pod nią 2 węzły tkackie płaskie. Węzły te wykonać na każdym z czterech sznurków. Następnie na dwunastu sznurkach wykonać węzły tkackie naprzemiennie — w trzech rzędach. Całość ująć

w ciasną opaskę. Końcówki sznurka rozczesać drucianą szczotką. Do górnego kółka między węzły szczytowe przywiązać cztery sznurki węzłem nad ręką, tak aby powstała pętla do zawieszenia makramy na haku. (Sposób wiązania wszystkich występujących tu węzłów podaliśmy w poprzednich numerach „Kontaktów”).



POZIOMO: 2) zwierzęta zaprzężone do pojazdu, 7) Zdzisław, Anna, Jadwiga, 8) „płochliwy” metal, 9) listwa na której nacięte są zęby, 10) jedna z podstawowych czynności wykonywanych przez rolnika, 12) ktoś bliski z rodziny, 15) rodzaj zastony, 18) generalna przed premierą, 19) zaciąg, pobór, 20) jeden z bardzo ważnych narządów ludzkich, 21) metal szlachetny, 22) różga, 23) sknera, skąpiec, dusigrosz, 26) przypadek, zbieg okoliczności, 29) figura w kartach, 31) ciało stale rozpuszczane w cieczy, 32) użytek zielony, 33) legendarny człowiek śniegów, 34) bicz z plecionego rzemienia osadzony na krótkim kijku.

PIONOWO: 1) zarządca emiratu, 2) dolna przylegająca do stępki część kadłuba statku, 3) przebywanie, bytność, 4) niebezpieczny na rzece lub drodze, 5) drzewo liściaste, 6)

kończyna, 10) armatura, 11) monarchini, 13) przedmiot wykonany szydełkiem, na drutach, 14) statek żaglowy jednomasztowy używany od XV wieku na M. Śródziemnym, 15) miasto znane z fabryki autobusów, 16) zmiana położenia ciała o pewien kąt, 17) zespół dawniej towarzyszący M. Grechucie, 24) pobiera naukę w szkole, 25) antonim przywozu, 27) jednostka w układzie systematycznym świata zwierzęcego i roślinnego obejmująca rodziny, 28) część uroczystego stroju wieczorowego męskiego, 29) mieć zdolności, skłonności do czegoś, 30) motłoch, szumowiny.

„HCL”

Wśród czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

akupunktura

Choć medycyna oficjalna ze sceptycyzmem odnosi się do leczniczych nakłuwań igłą ze względu na brak uzasadnionych podstaw naukowych, to akupunktura coraz śmielej forsuje bariery, jakie jej się stawia. Lecznicze właściwości nakłuwań pewnych punktów ciała odkryto, jak to zwykle bywa, całkiem przypadkowo. Dawno temu stwierdzono, że niektórzy chińscy wojownicy ranni strzałą przestawali później odczuwać dolegliwości, na które wcześniej cierpieli. Z czasem przekonano się również, że samo schorzenie można było wyleczyć, uszkadzając okolice miejsca przynoszące ból. I w ten sposób narodziła się akupunktura. Do pierwszych nakłuwań używano ostrych drzazg bambusowych, rybich ości lub kości zwierzęcych. Kiedy odkryto metale, sporządzano igły z brązu, później z żelaza.

Mimo że powstanie i rozwój akupunktury przypada na okres panowania cesarza-lekarza Huang Ti (około 2500 p.n.e.), to dopiero w czasach naszej ery metoda ta osiągnęła znaczny rozwój. Dopiero między III a IV wiekiem ustalono podstawowe punkty nakłuć. W X wieku ukazało się dzieło Roju Ju o zasadach i-gieł chińskich. Młodych adeptów akupunktury uczono nakłuwań na figurze człowieka z brązu. Zalepiano otwory woskiem i przyszli medycy musieli w nie bez pomyłki trafić.

Na początek naszego tysiąclecia przypada powstanie pierwszej oficjalnej uczelni. Europejczycy zapoznali się z akupunkturą podczas podróży na Daleki Wschód. Do medycyny europejskiej usiłował wprowadzić tę metodę holenderski chirurg już w XVII wieku, ale bez powodzenia. Szerzej zastosowali ją dopiero francuscy lekarze Cloquet i Berlioz w ubiegłym stuleciu.

szmugielek przed pół wiekiem

Nasi dziadkowie i ojcowie odczuwali wewnętrzny przymus przemycania zza granicy papierosów, czekoladek lub innych drobnotek. Władze celne zazwyczaj przymykały oko, gdy nie chodziło o systematyczną działalność na szkodę państwa. Ale też dla przyłapanych na gorącym uczynku kary były tak wysokie; częstokroć opłacały cło przemycanych dla sportu towarów.

W miejscowościach granicznych „zawód” ten przechodził często z ojca na syna, a wysokie grzywny, nakładane na przemytników, wkalulowane były w wydatki związane z wykonywaniem pracy. Choć np. na granicy śląskiej kwitł wielki szmugiel, to jednak nie było słychać o krwawych walkach między przemytnikami a strażnikami granicznymi. Natomiast w Ameryce...

Wśród przemytników amerykańskich znajduje się wielka ilość zbrodniarzy karanych kilkuletnim więzieniem. Ile piasku w morzu, tyle sposobów i sztuczek umożliwiających szmuglerstwo. Na przykład: przez długie lata przechodził sobie stale przez most graniczny inwalida z protezą. Grzecznie witali go zaw sze strażnicy, dawali mu nawet od czasu do czasu parę papierosów czy trochę grosza. Ale jeden z nich przyrzekał się inwalidzie dokładniej, a potem go zrewidował. Okazało się, że w wydrążonej protezie przemycali zakazane towary.

W ciągu jednego roku w wydrążonym kłocu drewnianym udało się przemycić 6890 papierosów.

Znacznie niebezpieczniejsze jest szmuglowanie kokainy, białej truciizny, niszczącej współczesne pokolenie. Przemytnicy kokainy zarabiają ogromne sumy. Przez czas pewien granice przekraczali wytwornicy panowie z laskami w dłoniach, aż władze celne wykryły, że w wydrążonej lasce mieści się około 400 gramów kokainy! Teraz wszyscy osobnicy noszący laski muszą je oddać do dokładnej rewizji. Drogie kamienie najczęściej przemycano w eleganckich damskich trzewikach, które miały wydrążone obcasy. Kryły one perły, brylanty i inne kosztowności.

Do Ameryki, którą nazywano w czas prohibicji „krajem suchym”, szmuglowano na wszelkie sposoby alkohol. Używano do tego na przykład, książek. Beczki ogórków, spod Terespoli, tak chętnie kupowane przez Amerykanów kryły w swym wnętrzu i zagrychę, i napitek.

TANIE DANIE

kulebiak z grzybami

8 średniej wielkości ziemniaków ugotować w mundurkach, obrać i przepuścić przez maszynkę. Dodać pół szklanki mąki ziemniaczanej, odrobinę mleka i soli, zagnieść ciasto. Zamiast mąki ziemniaczanej można użyć taką samą ilość mąki pszennej i 1 jajko. Na dość grubą warstwę wywałkowanego ciasta ułożyć nadzienie z grzybów ugotowanych, siekanych i przesmażonych w oliwie z dodatkiem siekanej cebuli, pieprzu, odrobiny mąki i łyżki śmietany. Można też przygotować farsz z kapusty i grzybów. Ugotować główkę kapusty w osolonej wodzie na pół miękko. Dalej posiekać i dusić z cebulą przesmażoną w tłuszczu, aż do pełnej miękkości. Na koniec dodać dwie łyżki ugotowanych i usiekanych suszonych grzybów, dwa jaja na twardo, trochę pieprzu. Kulebiak zawinąć, końce i brzeg starannie zlepować. Ułożyć na blasze, powierzchnię posmarować rozbełtanym jajem i posypać tartą bułką. Zrobić w paru miejscach otworki, aby powietrze mogło uchodzić. Piec w piekarniku, aż pięknie się zarumieni. Kulebiak podaje się gorący; przed podaniem na stół należy go pokroić na grubsze plastry.

stragan pod trzynastką



Na obecnym etapie cywilizacji niemal wszystko jest względne, płynne, dyskusyjne. Uświadamiam to sobie codziennie, gdy spiesząc z osiedla Jantar „na skróty” do pracy mijam tabliczkę informacyjną „Łomża”, a wracając dłuższą drogą nigdzie nie spotykam napisu „Zawady”. Przez pewien czas sądziłam, że napis — stary i powyginany — ma pozostać jako „świadek historii miasta”, a konserwator zabytków zlecił już doczepienie stosownej czerwonej tabliczki. Rozglądając się uważnie po okolicy można jednak domyślać się, że konwencja umowności jest wszechobecna: nowe budynki mają adres łomżyński — osiedle Jantar, „Polmożbyt” — a stare domy są zawadzkie. Pola rolników leżą oczywiście w Zawadach, gdy sąsiadujące z nimi ogródki działkowe — w mieście Łomża.

Nie mniej zabawnie jest w innych dzielnicach miasta: Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego leży częściowo w Krasce, a częściowo w Łomży; podobnie „rozdarte” są Kupiski. Grobla prowadzi do podmiejskiego Łasku Jednaczewskiego, ale nie jest on miejski, lecz gminny, i każde wkroczenie prezydenta odnośnie porządku, drobnych inwestycji jest przekroczeniem jego kompetencji, czego mu naczelnik, oczywiście, nie ma wcale za złe, a nawet przeciwnie. Niektórzy obywatele sypiają zapewne w mieście, by poranne siusiu zrobić już w gminie, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że granica przebiega przez środek ich chałupy czy podwórza.

Odpowiedzialni urzędnicy zastanawiają się nad tym, aby w niedalekiej przyszłości włączyć w granice miasta Starą Łomżę, Siemień, a także — kto wie? — Piątnicę.

Wprawdzie „starożytni” łomżynianie twierdzą, że Starą Łomżę i Zawady wyłączono z miasta w 1972 r. i mniej więcej w tym samym czasie rozważano wchłonięcie Piątnicy przez powiatową Łomżę. Piątniczanom pomysł bardzo się podobał, gdyż wiązał się z podłączeniem kolektora PGR — Marianowo-Pińnica do łomżyńskiej oczyszczalni ścieków. Przygotowano nawet stosowne projekty, ale Łomża, po mianowaniu jej na miasto wojewódzkie, zapomniała szybko o swych obietnicach. Piątnica też przestała o tym mówić i zaczęła na dobre swe niezależne, gminne bytowanie.

Łomżynianie raz klną, to znów żartują sobie z tych rozwichrzonych granic. Wiosną tego roku komisarze wojskowi sugerowali uaktualnienie granic miasta. Od sensownych zaleceń silniejsza jest jednak biurokratyczna ociążałość, ad-

ambitne kółko na mapie

ministracyjny bezwład. Może zresztą sami naczelnicy gmin zbyt silnie bronią się przed uszczupleniem swych ziem, aby nie spaść w statystyce? Być może też, że chodzi o poważny dylemat: dołączyć Piątnicę do Łomży, czy odwrotnie?

Choroby i niedomagania administracji łomżyńskiej nie są czymś wyjątkowym. Podobne historie zdarzają się również gdzie indziej: kiedy Radziwie zostało przyłączone do Płocka, przestało być siedzibą gmi-

minne. Można powiedzieć, że do kompletu brak tylko Piątnicy, która przysparza kilka wojewódzkich instytucji: Wojewódzką Komendę Straży Pożarnych, Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych i Stację Hodowli i Unasienniania Zwierząt.

Wypadałoby jednak zapytać samych piątniczian, czy mieliby ochotę, by ich wieś zdobyła rangę wojewódzką, tracąc jednak wiele ze swej tożsamości. Nie jest to bowiem nieporadna, zakompleksiona wieś — liczy sobie ponad dwa tysiące mieszkańców, czyli więcej niż niejedno dumne miasteczko. Zbiega się tu sześć ważnych dróg, usadowiły liczące się instytucje: Rejonowa Spółdzielnia Mleczarska obsługująca jedenaście gmin, GS, SKR, Bank Spółdzielczy, piekarnia, masarnia, rozlewnia wód, betoniarnia, wodo-

gminy Piątnica. Z mniejszym entuzjazmem, a może nawet niechęcią patrzyłoby (przynajmniej na początku) na ten mariaż władze miejskie. Korzyści wynikające z przyłączenia Piątnicy mogą wydawać im się zbyt nikłe w zestawieniu ze znacznymi nakładami na konieczne inwestycje komunalne. A wiadomo, że z tymi ostatnimi wyjątkowo trudno się uporać w obecnych warunkach. Trudno jednak uwierzyć, by Wojewódzka Komisja Planowania automatycznie skreśliła potrzeby wsi Piątnicy i nie wysupłała odpowiednich „limitów” na dzielnicę Piątnica.

Po ewentualnym przyłączeniu Starej Łomży, Zawad, Kraski i Piątnicy, „wielka Łomża” zrównałaby się pod względem powierzchni z małym Sieradzem czy Białą Podlaską. Jednocześnie jednak przyspie-



Rys. Andrzeja Podulki

ny; w momencie gdy Szpetal Dolny wszedł w skład Włocławka gminę przeniesiono do Szpetala Górnego, a gdy i ten dwa lata temu „wtopił się” w metropolię, siedzibę urzędu gminnego „bezpiecznie” przeniesiono w szczere pole. Słupsk z kolei chce, a nie może, powiększyć się o mocno zurbanizowaną podmiejską Kobylnicę, gdyż nie ma gdzie wyprowadzić gminnych instytucji. Wszystkie drogi zbiegają się w Gorzowie, lecz siedziby gmin są poza nim: północna w niecentralnie położonej Kłodawie, a południowa — zamiast w dzielnicy Gorzów-Zawarcie — w odległym Deszczynie.

W Łomży mieszcza się obecnie władze wojewódzkie, miejskie i

mistrzowska, kilka zakładów rzemieślniczych. Jedną restaurację przypada tu na tysiąc mieszkańców, w Łomży — na osiem. Łomżyniacy od lat korzystają z usług tutejszej całodobowej stacji benzynowej i gromadnie zjeżdżają na Świętego Jakuba...

Piątnica też ma swoje dzielnice: Włosciańską, w której grupuje się mniejszość rolnicza i Poduchowną, której mieszkańcy pracują poza rolnictwem, głównie w mieście za rzeką.

Większość piątniczian zaakceptowałaby awans administracyjny, gdyby nie spowodował on progresji podatkowej i przeniesienia instytucji obsługujących rolników obecnej

szylibyśmy o dobre parę lat uroczyste chrzciny pięćdziesięcioletniego łomżanina. Nie byłibyśmy już przy różnych okazjach wymieniani jednym tchem z „maluchami” — Ostrołęką, Suwałkami, Białą Podlaską, Krosnem, czy Tarnobrzegiem — gdyż dostalibyśmy się do miast tej klasy, co Chełm, Zamość, Leszno.

Dążenie do tworzenia dużego, silnego organizmu miejskiego, metropolii, prężnego, integralnego województwa może się niektórym wydać zaspakajaniem ambicji większego „kółka” na mapie. Może się jednak w przyszłości okazać, że jest to sprawa nie tylko honorowa.

Karolina

PORADNIK PETENTA



co wolno pracownikowi

Pracownik podejmujący pracę z reguły zbyt małą uwagę przykładają do obowiązków pracowniczych. Interesuje go głównie rodzaj pracy i wynagrodzenie. Nie zawsze również zna wszystkie swoje prawa, a wiadomo, że nieznanie obowiązków i praw pracowniczych prowadzi często do konfliktów z kierownictwem zakładu, których dałoby się często uniknąć, gdyby pracownik je znał. Zostały one wymienione w art. 100 kodeksu pracy, który przyjmuje za obowiązek pracownika: 1) przestrzeganie ustalonego w zakładzie czasu pracy i wykorzystanie go w sposób najbardziej efektywny, 2) dążenie do uzyskiwania w pracy jak najlepszych wyników i wykazywanie w tym celu odpowiedniej inicjatywy, 3) przestrzeganie regulaminu pracy i ustalonego w zakładzie porządku, 4) przestrzeganie przepisów i zasad bezpieczeństwa i hi-

gieny pracy oraz przepisów przeciwpożarowych, 5) dbanie o dobro zakładu pracy, chronienie mienia zakładu i używanie go zgodnie z przeznaczeniem, 6) przestrzeganie tajemnicy państwowej i służbowej, 7) przestrzeganie zasad współzycia społecznego.

Na pracownika spoczywają nie tylko obowiązki o charakterze statycznym, tj. obowiązki przestrzegania już ustalonych reguł — pracownik ma również obowiązek wykazywania aktywności w zakładzie pracy.

Obowiązki pracownika nie mają charakteru wyłącznie deklaracji — ich nieprzebranie zagrożone jest określoną sankcją: karą lub decyzją o rozwiązaniu stosunku pracy. Kodeks pracy przyjmuje jednak zasadę stosowania jednej kary za jedno przewinienie, czyli nie można stosować jednocześnie, przykładowo, kary upomnienia i kary pieniężnej. Nie jest natomiast karą dość często stosowane w zakładach pozbawienie premii. Podstawą do otrzymania premii jest wykonywanie wskazań premiiowych, choć często szczegółowym regulaminem są dodatkowe warunki, jak np. przestrzeganie dyscypliny pracy, niekaralność za przewinienia w okresie, za który przyznaje się premie.

W przypadkach, gdy pracownik narusza obowiązki pracownicze, może dojść do rozwiązania stosunku pracy z inicjatywą zakładu pracy w trybie wypowiedzenia bądź — w przypadku ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych — do rozwiązania stosunku pracy bez wypowiedzenia z winy pracownika (popularnie zwane — zwolnienie dyscyplinarne).

Pracownik może — co należy podkreślić — odpowiadać za naruszenie określonego obowiązku jedynie wów-

czas, gdy naruszenie to jest zawinione. W przeciwnym przypadku nie może ponieść żadnych ujemnych konsekwencji. Przykładowo, trudno winić pracownika za nieprzebranie przepisów bhp, gdy zakład pracy nie przeszkolił go z tego zakresu, mimo że ma taki obowiązek. Cięższą odpowiedzialność ponosi pracownik, który umyślnie nie wypełnił swego obowiązku od tego, który zrobił to nieumyślnie.

Na zakładzie pracy w stosunku do pracowników spoczywa również szereg obowiązków, które mają charakter prawa pracowniczego — pracownik może i powinien domagać się ich realizacji. Zostały one określone w art. 94 kodeksu pracy. Aczkolwiek przepis ten nie obejmuje wszystkich obowiązków zakładu — są one unormowane również w innych przepisach kodeksu.

Według wskazanego wyżej przepisu do obowiązków zakładu pracy należy: 1) zaznajomienie pracownika z zakresem jego obowiązków, sposobem wykonywania pracy na stanowisku pracy oraz podstawowymi uprawnieniami, 2) zorganizowanie pracy w sposób zapewniający pełne wykorzystanie czasu pracy, a także osiągnięcie przez pracowników pełnego wykorzystania ich uzdolnień i kwalifikacji, 3) zapewnienie przestrzegania porządku i dyscypliny pracy, 4) zapewnienie bezpiecznych i higienicznych warunków pracy, 5) terminowe i prawidłowe wypłacanie wynagrodzenia za pracę, 6) umożliwienie pracownikom podwyższania kwalifikacji zawodowych, 7) stwarzanie warunków pracy sprzyjających adaptacji zawodowej młodych pracowników, 8) zaspakajanie socjalnych i kulturalnych potrzeb pracowników, 9) stosowanie obiektywnych kryteriów oceny pracowników oraz wyników ich pracy, 10) wpływ na kształtowanie w zakładzie

pracy zasad współzycia społecznego. Niektóre z tych obowiązków rodzą uprawnienia roszczeniowe pracowników, niektóre są jedynie podstawą do interwencji organizacji politycznych, mogą mieć wpływ na ocenę działania kierownictwa zakładu itp. Przykładem roszczeniowego charakteru obowiązku zakładu pracy jest możliwość dochodzenia niewypłaconego w terminie bądź nieprawidłowo naliczonego wynagrodzenia za pracę. Przykładem obowiązku o charakterze nieroszczeniowym jest stosowanie sprawiedliwych i obiektywnych kryteriów oceny pracownika. W zakładzie pracy odpowiedzialność za realizację obowiązków zakładu spoczywa na jego kierownictwie, może również spoczywać na osobach poza tym grona. Przykładowo, odpowiedzialność za stan bhp spoczywa na kierowniku zakładu, kierownikach komórek organizacyjnych, inspektorze bhp, mistrzach, brygadziście i innych osobach kierujących zespołami ludzkimi.

Rażące naruszenia niektórych obowiązków zakładu pracy są wykroczeniami przewidzianymi w kodeksie pracy, a niektóre uznawane są nawet za przestępstwo przewidziane w kodeksie karnym. Odpowiadać w trybie mogą wyłącznie osoby obowiązane do realizacji obowiązków zakładu. Przykładowo, niewypłacenie w ustalonym terminie wynagrodzenia za pracę podlega karze grzywny do 2000 zł. Natomiast niezaznajomienie pracownika ze sposobem wykonania pracy na wyznaczonym stanowisku — w przypadku np. wykonania złego produktu przez pracownika — spowodować może obarczenie odpowiedzialnością materialną jego przełożonego.

ZYGMUNT ZEMBRZYCKI
(Wojewódzki Ośrodek Społeczno-
-Prawny ZSMP, tel. 49-60)



sprintem przez boiska

Wielki z piłkarskich boisk województwa. Ligowy ŁKS i „Olimpia” rozegrali kolejne pojedynki w III lidze, a klasa okręgowa zainaugurowała rozgrywki.

ŁKS Łomża — „Mazur” Elk 2:2 (1:1). Cenny punkt zdobyli piłkarze ŁKS-u, remisując w Łomży z groźną drużyną „Mazura”. Elki Łomżyńscy kibice mieli okazję przekonać się naocznie, że piłkarze z Elku dojrzała i skutecznie grają drużyną. Mecz z „Mazurem”, po wygranej z „Wigrami” i wysokiej porażce w Białymstoku miał być sprawdzianem faktycznych umiejętności łomżyńskich. Test wypadł nadszarpniętym dobrze. Wprawdzie drużyna ŁKS-u ustępowała w szybkości, ale nie brakło pomysłów w przeprowadzanych akcjach ofensywnych i ambicji w grze.

Początkowo gra toczyła się w środkowej strefie boiska. Pierwszą groźną akcją łomżyńską przeprowadzili w 12 minucie meczu. Po skutecznym ataku całego zespołu do centrum Cimochońskiego nie doszedł jednak Lemański. W minucie później szybka kontra „Mazura”, ale na posterunku był Kulesza. W dziesiątą minutę później Petkowski przedarł się przez obronę gości, podał piłkę do tyłu Osiłowiczowi, a ten z linii pola karnego przebiegł piłkę nad bramkarzem „Mazura”. Jednak „Mazur” nie rezygnował. W 28 minucie Rańczuch silnym strzałem z 15 metrów wyrównał na 1:1. W kilka minut później mógł już być 2:1 dla gości, ale Skowroński, naprawiając błąd Kuleszy, wybił piłkę z pustej bramki. Na pięć minut przed końcem pierwszej połowy Kulesza zrehabilitował się za poprzednią niedaną interwencję, broniąc groźny, oddany z kilku metrów strzał napastnika gości.

W drugiej połowie pojedynku gra nabrała ostrości, a to za sprawą słabo spisującego się trójki arbitrow z Olsztyna, którzy popełniając wiele błędów dopuścili do tego, że piłkarze sami zaczęli szukać „sprawiedliwości”. W 49 i 55 mi-

nucie meczu szansę na zdobycie gola dla gospodarzy mieli Lemański i Cimochoński. Jednak dopiero w 68 min. meczu, która wreszcie okazała się pomyslna dla Petkowskiego, nie mającego do tej pory szczęścia, zdobył on swoją pierwszą, a drugą w niedzielnym meczu dla ŁKS-u bramkę, strzelając piaszko obok wybiegającego bramkarza gości. Na 4 minuty przed końcem meczu, po jednym z groźnych kontrataków „Mazura”, Zalewski wyrównał na 2:2.

„Olimpia” Zambrow — „Jagiellonia” Białystok 0:3 (0:1).

Kolejne rozczarowanie przeżyło około tysiąca kibiców przybyłych na niedzielny mecz. „Olimpia” przegrała trzeci z rzędu pojedynki w lidze, a jej napastnicy w dalszym ciągu, pomimo wypracowywania dobrych sytuacji, nie potrafili pokonać obrony przeciwnika.

Już na początku meczu białostoczanie zdobyli prowadzenie. Bramkę strzelił głową z odległości 9 metrów, po dośrodkowaniu Kołosowskiego, Szugda. Po przerwie białostoczanie Piasecki, w zamieszaniu podbramkowym, wepchnął do siatki toczącą się wzdłuż linii bramkowej piłkę. Wynik meczu na 3:0 ustalił Szugda, zdobywając gola również w zamieszaniu podbramkowym.

Po przerwie zawodnicy „Olimpii” mieli kilka dogodnych sytuacji na zdobycie bramki, ale zabrakło przysłówowego łutu szczęścia. Najpierw Sasnowski z pięciu metrów strzelił w poprzeczkę, a następnie Kuczałek, będąc sam na sam z bramkarzem gości, posłał piłkę minimalnie obok słupka. Również Tykocki w dobrej sytuacji niecelnie strzelił głową.

Pozostałe wyniki ostatniej kolejki trzeciej ligi: „Gwardia” — „Śniardwy” 0:0, ZWAR Przasnysz — „Wigry” 3:2, „Sokół” Sokółka — „Stomil” — 1:1, „Rominta” — „Narew” 2:9, „Sokół” Ostróda — „Mławianka” 3:1.

W niedzielę ŁKS gra w Olsztynie ze „Stomilem” a „Olimpia” w Elku z „Mazurem”. Natomiast w klasie okręgowej „Grom” Czerwony Bór podejmie łomżyńską „Bawelne” a „Warmia” Grajewo gra w Wyszkowie z tamtejszym „Bugiem”.

Uwaga kibice i sympatycy piłki nożnej

„Kontakty” na swój jubileusz — wydanie setnego numeru — wspólnie z redakcjami „Piłki nożnej”, „Przeglądu sportowego” i III programu Polskiego Radia, przygotowują wielką niespodziankę.

Już za tydzień informacja o meczu, jakiego Łomża jeszcze nie widziała!

pytanie drażliwe

Jak przedstawia się zaopatrzenie młodzieży w stroje gimnastyczne?

Stanisław Daniszewski, kurator Oświaty i Wychowania w Łomży: — Więcej niż beznadziejnie, ale dobrze by było, gdyby pan porozmawiał na ten temat z dyrektorem WPHW, bo my naprawdę jesteśmy bęzsilni.

Alina Swierczewska, kierownik branży sportowo-turystycznej WPHW w Łomży: — Naprawdę nie wiem, jak to będzie. Artykuły te dzielone są centralnie. My i Suwałskie otrzymujemy wspólnie z Białostockiem, jednakże Białystok odstępuje nam zaledwie 16 procent całego przydziału, a przecież stanowiemy co najmniej 50 procent stanu ich ludności. Przed kilkoma tygodniami spłynęło do naszego województwa tylko 50 par dresów. A podkoszulki, tenisówki, to już marzenie

ściętej głowy.

Jadwiga Grużewska, kierowniczka sklepu sportowo-turystycznego w Kolnie: — Nic nie ma. Na wiosnę dostalam około stu par spodenek i to była ostatnia dostawa tych artykułów do mojego sklepu. Interweniowałam w Białymstoku, zawiadzałam zamówienie, kazali je zostawić, ale to nic pewnego, że coś dostanę. A ludzie dopytują się, szukają.

Jadwiga Wasilewska, instruktor biura rejonu WPHW w Wysokiem Mazowieckiem: — Wczoraj otrzymaliśmy tylko „Wigry” i rowerki dla dzieci. Na początku sierpnia dostaliśmy sporo tramppek, ale wszystkie poszły jak woda. Spodenek i koszułek nie mamy już od dłuższego czasu.

Janina Jamiołkowska, matka dwójga dzieci, uczniów I i III klasy, w Nurze: — O co mnie pan pyta — u nas ołówka nie uświadczy, a o tenisówkach, koszułce czy spodenkach, nawet mowy nie ma.

wieści gminne

NUR. Zaopatrzenie w mieszkankę, węgiel i pieczywo lepsze niż w roku ubiegłym. Pod znakiem zapytania kolejny termin uruchomienia własnej piekarni. Żniwa już finiszują, ale zboże w gminie sypie się bardzo słabutko — do magazynu GS-u spłynęły zaledwie 34 kwintale.

BOGUTY PIANKI. Na polach stał się zaledwie jeden procent zbóż. Do magazynu spłynęło już 30 ton ziarna. Po interwencji u wszystkich nadprzyrodzonych sił wreszcie spadło trochę deszczu. Niewiele to, ale niektórzy rolnicy przystąpili już do orki ściernisk. Pogorszyły się dostawy wędlin: są sporadyczne i znikome — to, co prezosi GS-u spadnie z kapelusza.

SZUMOWO. Po kontrolach komisarzy życie w gminie przybrało na szybkości. W sklepach znalazły się nawet napoje chłodzące. Porządek zapanował w magazynach i placówkach usługowych GS-u. Naczelnik wykorzystuje tę sytuację i na jednym, historycznym, wydechu porządkuje całe Szumowo: leje asfalt na najważniejsze ulice, przystanek autobusowy, zakłada skwerek. Tylko ciut wolniej odbywa się skup zbóż. 100 kwintali jest już jednak w magazynie. Byłoby więcej, lecz zdecydowana większość rolników nie zabrała się do omłotów.

ZAMBROW. W rozkopach znajduje się najważniejsza ulica — Aleja Wojska Polskiego. Rzeźbka Jablonka doczekała się swego zalewu, choć nie uwolniła się od ścieków. Zbudowano już jednak klasyczny drewniany mostek, z którego można będzie podziwiać — miejmy nadzieję, już wkrótce — jej oczyszczone wody. Naczelnik zapowiada pożegnać się ze ściekami Jablonki na najbliższym naradzie poświęconej estetyce Zambrowa. Skończyły się działki pod budownictwo indywidualne. Nowe hektary na około 50 domków są już uzbrojone — dociągnięto linię elek-

tryczną i wodę, biuro projektów przygotowuje plan zagospodarowania terenu.

CZYŻEW. Na polach jeszcze 13 procent zbóż, w magazynie — już 13 ton. Susza niszczy 800 hektarów buraka cukrowego. 32 rolników skorzystało w czasie żniw z bezkolejowej opieki usługowej Spółdzielni Kółek Rolniczych. Mieszkańcy wsi przywieźli w czynnie społecznym 400 metrów sześciennych piachu pod historycznie już budowany ośrodek zdrowia. Chyba majstrów nie ukryja go w rekawach. Po wieloletnich oczekiwaniach mieszkańców, Czyżew doczeka się wreszcie przyzwoitego podjazdu autobusowego. Rolnicy z Nowej Wsi zakładają społecznie centralne ogrzewanie w budynku szkoły, której nie pozwolili zabrać w latach szalejącej reformy szkolnictwa.

STAWISKI. Skupiono już prawie jedną czwartą planowanych dostaw zbóż. Na większości pól rozsiano wapno. Polepszyły się — zdaniem naczelnika — wędliny, bo za zgodą WZSR-u powrócono do starych, sprawdzonych receptur. Nadal odczuwane są niedostatki pieczywa, bo własna piekarnia jeszcze w budowie, a sąsiedzi dowożą dopiero wtedy, gdy sami się najadzą.

CIECHANOWIEC. Wiceprezes GS-u otrzymał słowa mieszkańcom Czarkówki Małej w gminie Perlejewo (ciechanowiecki GS obsługuje również i tę gminę) tylko na kilka dni. Miał zarządzić rytmiczne, a przynajmniej sprawiedliwe dostawy chleba, drożdży, „od czasu do czasu rzucić nawet skrzynkę gwoździ”. Piłki w sklepie świecą pustkami jak przed obietnicą, a ludzie w Czarkówce powiadają: „Nie się nie zmieniło; bo w zarządzie GS-u siedzą ci sami wyzercarze i tak towar dzieła, jak im tradycyjnie się podoba”. Trudno w terenie uświadczyc choćby groszki cukiernicze. Czyżby znów Szanowny Pan Wiceprezes nie dogadał się ze swoim zwierzchnikiem w Wysokiem Mazowieckiem i cukier tam czekał li tylko na odbiór? Bo tego w sklepach również jakoś nie widać.

UWAGA PRENUMERATORZY PRASY RADZIECKIEJ

RSW „Prasa—Książka—Ruch” Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Białymstoku zawiadamia, że Oddziały i Ekspedycje RSW rozpoczęły przyjmowanie zamówień na prenumeratę prasy radzieckiej na 1983 rok.

Instytucje państwowe, społeczne, szkoły i zakłady pracy z terenu województwa białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego mogą składać zamówienia w najbliższych Oddziałach lub Ekspedycjach RSW.

Prenumeratory indywidualni mogą składać zamówienia na prasę radziecką we wszystkich Oddziałach i Ekspedycjach RSW, w klubach prasy i książki „Ruch” oraz w typowanych kioskach „Ruch”.

W Białymstoku zamówienia przyjmuje I Oddział RSW „Prasa—Książka—Ruch” ul. Kopernika 93, tel. 227-85.

Termin przyjmowania zamówień na prasę radziecką upływa 28 października br.

ogłoszenia drobne

JEDNOPIETROWY dom w Łomży sprzedam. Wiadomość: Łomża, Mickiewicza 19/4. K — 6912-3
SKRADZIONO wkładki do dowodu osobistego wydane na nazwisko Stanisław Szablowski Am 425952, Helena Szablowska Am 425951, Jerzy Szablowski Am 564722, Wiesław Szablowski Am 425950. K — 6914

DOM jednopietrowy w Łomży lub Piatnicy w stanie surowym lub wykończony kupię. Wiadomość: Piatnica, sklep przemysłowy, ul. Szkolna.

SKRADZIONO wkładki do dowodu osobistego nr Am 618516 wydana na nazwisko Regina Samsel oraz nr Am 618517 na nazwisko Elwira Samsel. K — 6915

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Bluro Matrymonialne „Mazury” Olsztyn 2, skr. 336. K — 2963-00

26.VIII TV 1.IX

CZWARTEK — 26.08.1982 r.

PROGRAM I: 8.50 Jesień 82, 9.00 Teleferie „Wesołe podwórko” oraz film z serii „Zaloga Błękitnej Mewy” — „Spotkanie z latarnikiem”. 16.40 Program dnia. 17.00 Dziennik. 17.30 Twierdza Czarnej Madonny — program dokumentalny. 18.00 Magazyn lotniczy. 18.30 Wieczorynka. 19.00 „Sonda” — „Perspektywy energii”. (4). 19.30 Dziennik. 20.15 „Ogariowa 6” — radziecki film kryminalny. 21.40 „Nadzieje i rozczarowania” (2) — program dokumentalny. 22.00 Rolnicze rozmowy. 22.10 Pegaz. 22.55 Dziennik.

PROGRAM II: 18.05 Program dnia. 18.10 Wakiacyjne kino „Dwójki” — „Biohazard” film science-fiction. 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik. 20.00 Ogródek Wujka Cieska — monolog Stanisława Stugarskiego. 20.05 Śpiewają Poznańskie Piosenkarki. 20.20 Kto opisał a kto zmierzył Morskie Oko. 20.40 Mieczysław Karłowicz — Serenada. 21.05 Poczet Wielkich Generałów — Henryk Dąbrowski. 21.25 Przed Odsłonięciem Pomnika Armii. 21.35 Przed i po turnie — Jerzy Kurczewski. 22.00 To można było zobaczyć. Całość — Program dokumentalny.

PIĄTEK — 27.08.1982 r.

PROGRAM I: 8.50 Jesień 82, 9.00 Teleferie „Listy z lata” oraz film pt. „Jabłka”. 16.40 Redakcja Szkolna zapowiada. 16.55 Program dnia. 17.00 Dziennik. 17.30 „Stępner — zbójnik z gór” (7). — „Spotkanie z hrabią” — film historyczno-przygodowy. 18.30 Wieczorynka. 19.00 „Przyjemne z pożytecznym”. 19.30 Dziennik. 20.00 Monitor rządowy. 20.30 „Białe tango” (4). — „Klucze” — serial film obyczajowy TP. 21.35 Wojciech Karolak i jego goście — program rozrywkowy. 22.05 „Namibia” — program studyjno-filmowy. 22.40 Dziennik. 23.00 Melodie na dobranoc.

PROGRAM II: 18.00 Szopen w Dusznikach — felieton muzyczny. 18.15 Ostatnie obrazy — program o Alfonsie Muszyńskim i Eugeniuszu Geppercie. 18.35 Rewia Książ 82 — ujeżdżanie koni. 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik. 20.00 Obudzić serca — reportaż z zakładu anestezyjologii. 20.20 Pożegnania reportaż z występów Opery Wrocławskiej w RFN. 20.45 10 minut o Panoramie Racławickiej. 20.55 Nie tylko Panorama — o zaginionej panoramie Bitwy na Psim Polu. 21.25 Spotkanie z historią — Stanisław Rowecki. 21.50 „Pierwsza Jaskółka” — radziecki film obyczajowy.

SOBOTA — 28.08.1982 r.

PROGRAM I: 8.25 Program dnia. 8.30 Tydzień na działce. 8.50 Jesień 82, 9.00 Teleferie „Sobótka” oraz film z serii „Zaloga G” — „Kasperek” — węgierski film fabularny. 14.05 Z poligonowych dróg — wojkowy film dokumentalny. 14.40 Melanżowa (1) — Synowie ludożerców. 15.10 Rozrywka z dwójką — Country Family. 15.40 Dziennik. 16.00 7 Anten. 17.00 Moje miejsce na ziemi. 17.20 Kacik humoru. 17.50 Z Polski rodem. 18.30 Trybuna poselska. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.15 „Szalone dni” — jugosłowiański film obyczajowy. 21.40 W rocznicę podpisania umowy. 22.50 Dziennik. 23.10 Gama rozrywki.

PROGRAM II: 15.05 Okrycie Ameryki przez Kolumba — widowisko dla dzieci. 15.30 Bliziej natury. 15.55 „Na muzu” — ostatni odcinek serialu. 17.15 Selek — reportaż. 17.30 Ochrona środowiska (1). 17.45 Być z Tobą — recital Zdzisławy Sosnińskiej. 18.10 Ochrona środowiska (2). 18.25 Skok — reportaż filmowy. 18.40 Ochrona środowiska (3). 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik. 20.15 Kabaret Olgi Lipińskiej. 20.55 Program muzyczny. 21.40 „Opętanie” — włoski film fabularny.

NIEDZIELA — 29.08.1982 r.

PROGRAM I: 7.50 Nowoczesność w domu i zagrodzie. 8.15 Program dnia. 8.20 Tydzień. 9.00 Kino Teleferie — „Pietna-stoletni kapitan”. 10.15 Po drugiej stronie ekranu. 10.35 Wielkie miłaste świata — „Leningrad”. 11.30 Estrada folkloru. 12.00 Dziennik i magazyn świat. 12.45 Droga dla wszystkich — program red. rolnej. 13.15 Telewizyjny koncert żyć.

14.00 Stare kino — Filmy Charlie Chaplina. 15.15 Losowanie dużego lotka. 15.30 Ośrodki prezentacji — wspomnienia z estrady. 16.15 Gwiazdy kabaretu — Edward Dziewoński. 16.55 Program rozrywkowy. 17.35 „Wielka miłość Balzaka” (6) — „Linokoczek”. 18.30 Mini portrety — Andrzej Rybiński. 19.00 Wieczorynka. 19.30 Dziennik. 20.15 „Trzy lata” (2) — adaptacja opowiadań Czechowa. 21.30 Sportowa niedziela. 22.00 Portrety — Troska i pieśń.

PROGRAM II: 12.30 Spotkania z NRD. 13.00 Militaria, obronność, nowoczesność. 13.30 Program lokalny. 14.00 Stare kino (wersja dla niesłyszących). 15.15—23.00 Studio 2. 15.20 Kalendarz Kino Oko: „Kolonia wielkich czapli” oraz „Wy-cieczka niedźwiadka” — filmy przyrodnicze. 16.20 Miłość po polsku. 16.30 „Szpital na peryferiach” — przed emisją nowych odcinków. 17.00 Miłość po polsku. 17.10 Batory wraca do kraju. 17.20 Leszek Mazan odpowiada na dzwonne pytania. 17.30 Człowiek i przyroda — Krukowate — film dokumentalny. 18.00 Stereo 1 w kolorze — recital pianistyczny Józefa Stompiła. 19.00 Miłość po polsku. 19.30 Dziennik. 20.15 Jerry Lewis w Paryżu — program rozrywkowy. 21.15 Miłość po polsku. 21.30 Barodrom — reportaż filmowy. 22.00 „Saga rodu Rius” (7) — serial TV hiszpański.

PONIEDZIAŁEK — 30.08.1982 r.

PROGRAM I: 8.50 Jesień 82, 9.00 Teleferie. W programie film z serii „Szaleństwo Majki Skowron”. 15.55 Nurt — wykład pierwszy. 16.25 Program dnia. 16.30 Krag — magazyn harcerski. 17.00 Dziennik. 17.30 „Ucieczka z krainy złota” (1) — czechosłowacka adaptacja powieści Jacka Londona. 18.30 Wieczorynka. 19.00 Echa stadionów. 19.30 Dziennik. 20.15 Rolnicze rozmowy. 20.25 Teatr Telewizji — „Sadzone mu było wybie-rać” — monodram w wykonaniu Tadeusza Zapasnika. 21.20 W rocznicę podpisania umowy. 22.20 Dziennik. 22.40 Melodia na dobranoc.

PROGRAM II: 17.30 Program lokalny. 18.00—22.00 Dzień wietnamski w Telewizji Polskiej. 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik.

WTOREK — 31.08.1982 r.

PROGRAM I: 8.50 Jesień 82, 9.00 Teleferie — Kino Bajka — „Lampa Allady-na”. 16.40 Program dnia. 17.00 Dziennik. 17.30 Interstudio. 18.00 Od melodii do melodii. 18.10 Moje miejsce na ziemi. 18.30 Wieczorynka. 19.00 Kłębka zdrowego człowieka — wady rozwojowe dzieci. 19.30 Dziennik. 20.15 „Chłopi” (5) — „Gody”. 21.05 Rolnicze rozmowy. 21.20 Kultura 82. 21.50 Odejsie w tło — ballady Seweryna Krajewskiego. 22.20 Dziennik. 22.40 Z konkursowych nagrań Erika Berchot.

PROGRAM II: 17.40 „Jakub” — czechosłowacki film obyczajowy. 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik. 20.00 Wtorek melomana. 21.00—22.15 Wieczór filmowy.

ŚRODA — 1.09.1982 r.

PROGRAM I: 8.50 Jesień 82, 15.25 Nurt — Klasa — zespół wychowawczy. 15.55 Program dnia. 16.00 Dla młodych widzów — Kino waszych rodziców. 16.30 Dla dzieci — „Tik-tak”. 17.00 Dziennik. 17.20 Losowanie express i małego lotka. 17.35 Rozmaitość sportowa. 18.00 Pamięć września — Sztandar 3-go batalionu. 18.15 Zakazane piosenki — piosenki z filmu. 18.25 „Świadkowie” (1) — historia Oddziału Wydzielonego Wisła. 18.50 Dobranoc. 19.00 By nie zdarzyło się już — pieśni pokoju. 19.30 Dziennik. 20.15 „Wrzesień 1939 — tak było” — film dokumentalny. 21.15 Święta miłości — estrada poetycka. 21.50 Licza się fakty. 22.20 Dziennik. 22.40 Melodie na dobranoc.

PROGRAM II: 17.30 „Gorzkie dzieciństwo” — radziecki film wojenny. 18.40 Krajobraz Polski — Pieniny. 19.00 Program lokalny. 19.30 Dziennik. 20.00 Pamięć września — Armia Poznań. 20.15 Wirtuti Militari — widowisko muzyczne. 21.15 „Świadkowie” (2) — historia 9 Pułku Ułanów Małopolskich. 21.40 Zakazane piosenki (fragmenty). 21.50 Wrzesień 82 — program publicystyczny.

kramik z wydawnictwami

„Pewna, wysoko nosząca się jej-
mość wystąpiła swoją dziewczynkę do
sąsiadki z prośbą o pożycznie wor-
ka. Była jesień, zwózka ziemniaków.
Dostała odpowiedź: — Kłaniaj się
swojej ichmości i przeproś, że worka
pożyczyć nie mogę, bo jeden wdział
na siebie panicz i pognął świnię,
pod drugim śpi panicz młodszy, a
więc worków nie mamy [...]”

O kim to cytaty? Ano o mieszkań-
cach zaścianków — na północno-
wschodnim Mazowszu. Biedni, po-

noć swarliwi, zabobonni, ale i zami-
łowani w tradycję, dowodzący swej
polskości również w trakcie pow-
stań narodowych. „Łomżyńska oko-
lica, osiedlona drobną szlachką, ma
jakiś typ ojczyzny, bardziej niż gdzie
indziej czuje się tu człowiek mię-
dzy swymi. Wszystkie cnoty i przy-
wary naszego społeczeństwa są tu
w zarodku” — pisał w 1865 roku
Wincenty Chościak-popiel, biskup
płocki.

Z mrowia anegdotek, wypisów
źródłowych, fragmentów korespon-
dencji prasowych, legend i wspom-
nień złożył nową książkę Henryk Sy-
ska. Polecamy — „W dolinie Orza”,
Pojezierze 1982, cena 75 zł.

ALBUM ŁOMŻYŃSKI

Jakub Falkowski

Urodził się 29 kwietnia 1775 r. w
Budlewie, wsi leżącej w ówczesnym
powiecie brańskim, zmarł zaś 21
października 1848 r. w Warszawie
i w podziemiach stołecznego kościo-
ła św. Aleksandra został pochowa-
ny. Dlaczego zatem zalicza się tego
nauczyciela, wychowawcę i założy-
ciela Instytutu Głuchoniemych do
grona najwybitniejszych Łomżyń-
nian? Czy nie jest to kolejny przy-
kład swoistego „podkupywania” bo-
haterów?

W zgodzie z tradycją odpowiadam
na tak sformułowane pytanie: —
nie! Wywodzi się Falkowski ze śró-
dowiska drobnej szlachty, warstwy
charakterystycznej dla Łomżyńskie-
go, kontrowersyjnie przez wielu hi-
storyków ocenianej. Pierwsze nauki
pobierał w Siemiatyczach i Drohi-
czynie, ale kontynuował je — już
jako pijar — w kolegium szczuczyń-
skim oraz łomżyńskim (studia filo-
zoficzne). Ta kolejność potwierdza
wysoki poziom obu placówek Ko-
misji Edukacji Narodowej z terenu
naszego regionu.

W 1796 r., już po III rozbiorze
Rzeczypospolitej, Falkowski wrócił
do Szczuczyna, by tu zdobywać doś-
wiadczenia pedagogiczne. Uczyl zra-
zu w szkole początkowej, potem w
klasie pierwszej kolegium, następ-
nie matematyki w klasie drugiej i
trzeciej. Sam, z godną pochwały
skromnością, zrezygnował z tego
awansu i wrócił do pracy w klasie
pierwszej, gdyż — jak pisał —
„nie czując się być zdolnym do da-
wania matematyki, na niepokój su-
mienia mego narażać i uczniów za-
wodzić nie mogłem”. Nie oszczędzał
się jednak, podejmując dodatkowe
obowiązki prefekta i nauczyciela
wymowy. Dał się też poznać jako
gorliwy opiekun ubogiej młodzieży
w większości pewnie, jak i on, po-
chodzenia drobnoszlacheckiego i
kwestor w okolicznych dworach
Wilczewskich, Kisielnickich, Ry-
dzewskich, Karwowskich, Rakow-
skich, Downarowiczów, Doliwów,
Obryckich, Szczuków, Wagów i in-
nych.

W 1803 r. Jakub Falkowski wyje-

chał do Niemiec, potem osiadł w
Drohiczynie, ale w 1807 r. „na wez-
wanie obywateli” przybył znów do
Szczuczyna. Mianowany rektorem
tutejszej szkoły musiał przeprowa-
dzić naprawę gmachu, zgromadzić
personel i pomoce naukowe, wzno-
wić zajęcia po czteroletniej przerwie.
Dodatkowo, jako proboszcz szczu-
czyński, zajął się zaniebanym ma-
jątkiem kościelnym.

Do Szczuczyna przywiózł Falkow-
ski swego podopiecznego głucho-
niemego Piotra Wysockiego. Pisał:
„co mi czasu zbywało od moich obo-
wiązków (dodajmy — licznych),
to poświęcałem próbie uczenia glu-
choniemego”. Nauka przynosiła wi-
doczne efekty i w 1809 r. nauczyciel
oraz uczeń pojechali do Warszawy,
by tam zaprezentować swą metodę
edukacji. Za sprawą Staszica Fal-
kowski odbył kilka kolejnych pod-
róż, zdobył dyplomy naukowe, a 12
czerwca 1816 r. otrzymał nominację
na dyrektora instytutu dla głucho-
niemych i ociemniałych, z siedzibą
właśnie w Szczuczynie. Ostatecznie
jednak Instytut powstał w Warsza-
wie, ale w skład kadry weszło kilka
osób z Łomżyńskiego (ks. Chojnow-
ski, Piotr Dobrzycki, Feliks Wado-
łowski, Wawrzyniec Wysocki). Po
zamknięciu kolegium szczuczyńskie-
go (1813) Falkowski próbował zorga-
nizować nową szkołę w Wąsosz.

W okresie szczuczyńskim wydał
Jakub Falkowski także swe pierw-
sze druki. Były to m.in.: „Mowa
duchowna w czasie uroczystości św.
Józefa Kalasantego o zacności stanu
nauczycielskiego i jego obowiązkach,
miana w Szczuczynie 1811 r.”, zade-
dykowana nauczycielom: „Wam
Szanowni, którzy pracę poświęcacie
dla dobra ludzkości”, także „Mowa
o pamięci na śmierć, miana przy
spuszczaniu do grobu zwłok św.
Anieli Rydzewskiej, starościany raj-
grodzkiej...” oraz mowa z pogrzebu
plebana piętnickiego Stanisława
Kostki Zyznowskiego.

W Szczuczynie i Łomży pobierał
Jakub Falkowski nauki, w Szczucz-
ynie zdobywał doświadczenie peda-
gogiczne, tu przygotowywał metodę
nauczania głuchoniemych. Zostawił
po sobie wdzięczną pamięć, szeregi
wychowanków, teksty mów, przy-
kład rzetelnej pracy.

reklamy

Żona do męża

Wszystko w domu czyste mamy
Lecz na ścianie, brudne ramy.
Dajmy je pozłotnikowi,
A on tanio nam odnowi.
Mężu drogi mówię szczerze,
Wiele mu dasz — tyle bierze,
Robi wszystko, co kto każe,
U niego nie ma różnicy,
Oltarzyki i oltarze,
Czy do cerkwi, czy do bożnicy.
Bardzo skromnie sobie żyje,
Nie chciwy na ruble czyje.
Jakież ramy on potrafi,
Rzeźbi sam do fotografii,
Oprawia różne obrazki —
Nazywa się „Jarosławski”.

— Donieś paniom muszę,
że magazyn żony
„Damskie kapelusze”
został przeniesiony
na ulicę Krótką. Chwała panu

Bogu
że to niedaleko — drugi dom od
rogu.

Przyjść zobaczyć proszę —
są modne fasony.
Przywiozłem dwa kosze
z Warszawy od żony
Powiem też w sekrecie,
gdyż panie nie wiecie,
jest to Jarosławski, o interes dba.
W Warszawie na Chmielnej ma
magazyny dwa.

(„Wspólna Praca” rok 1911
nr 37 str. 367)

o Kurpiach

Sprzed 1914 r.

Lud kurpiowski lubi podróżować.
Masowo emigrował do Ameryki,
lecz starał się wracać z zarobionym
dolarem do kraju. Kiedy raz spy-
tałem jednego Kurpika, czy już był
w Ameryce, ten mi odpowiedział:
— Cy ja bułem w Ameryce? Ależ
ja bułem nawet w Warszawie!

(Adam Chętnik)

Łomża

W fantazji, idźbłami
prawdy nizanej

„[...] Toż Łomżynianki są na ogół
ładne i chodzić, ruszać się umieją
tym ruchem swojskim, co nie jest
ani ościętałem dźwiganiem się Niem-
ki, ani sztywnym stapaniem Angiel-
ki, ani lubieżnem kotysaniem się
Hiszpanki, ni nawet zręcznem ma-
nuekowym fruwaniem Francuzki,
lecz czemś do tego ostatniego zbli-
żonem najwięcej może, tylko więcej
swojskim, więcej posuwistym i w ni-
czem nie ustępującem.

Łomżyniacy są na ogół kształtni,
rośli, dorodni, do życia, do pracy nań
i jego obrony zdolni, a oczy obu,
choć włoskim nie palą się płomie-
niem, z ciekawością na świat pa-
trzą, myśl Bożą tając w lazuruwej
swojej głębi [...]”

dr Bohdanowicz
„Gazeta Łomżyńska” 1922, nr 20,

maszyna

Do mierzenia ducha ludzkiego

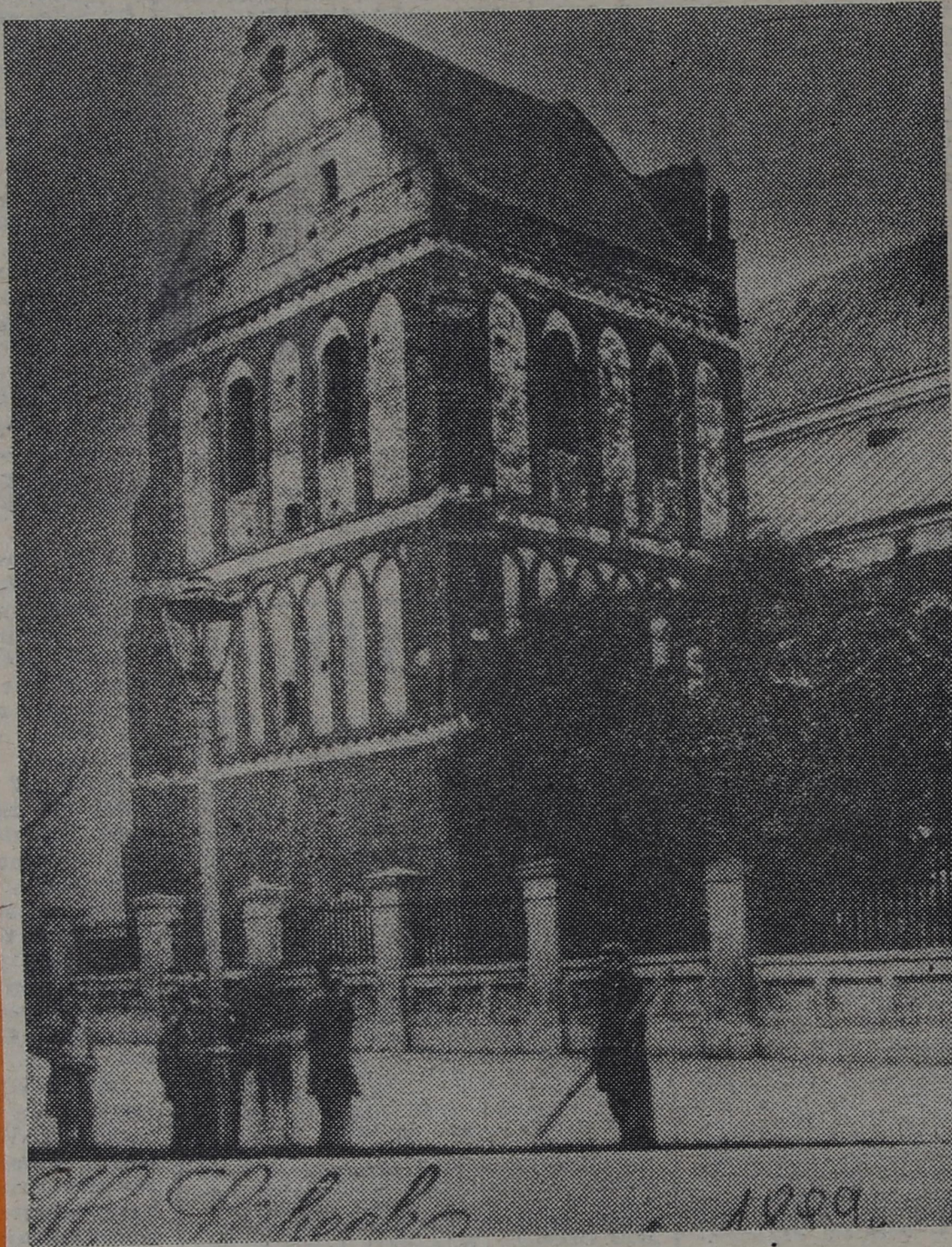
Mr. John Gey, skarbnik Royal An-
thropological Institute wynalazł ma-
szynę do badania ilości i jakości du-
cha ludzkiego. Maszyna jest bardzo
skomplikowana, ale pokazuje jak
waga na skali, do jakiej skali nale-
ży dana głowa.

W środku tej skali znajduje się
znaczek (commen-sense), to zaś co
znajduje się pod lub nad tym zna-
kiem, ma wskazywać na większe
lub mniejsze anomalje. O kilku zna-

ków nad „commen-sense” znajduje
się genjusz, wspaniały, twórczy
duch, jeszcze jeden znak wyżej —
duch gubiący się w abstrakcjach.
Dwa znaki pod zdrowym rozumem
mieści się duch cyniczny i lekko-
myślny, jeszcze niż duch kapryśny
nie stosując się do głosu rozumu —
jeszcze niżej duch usposobiony do
zbrodni, i wreszcie idjota.

Maszynę opisuje dokładnie ostat-
ni numer pisma antropologicznego
„Knowledge”. Jest zbudowana tak
delikatnie, że odczuwa działanie ner-
wów mózgowych, według których
ruszają się wskazówki na skali

(„Wspólna praca” rok 1910
nr 38 str. 41)



Repr. Bolesław Deptuła

gadki kurpiowskie

Zdarzyło się raz, że Kurpik poje-
chał z wycieczką aż w Tatry. Oglą-
dał wszystko z ciekawością, jeździł
do Doliny Kościeliskiej i do Morskie-
go Oka, widział górali i góralki.

Po powrocie do wsi, na Kurpie, wy-
pytywano go wszędzie, co to za kraj
te Tatry, czy nie dalej tam do Ame-
ryki, czy bogaty i czy choć tam pięk-
nie, jak powiadają.

— Bogactwa dużego nie zidziołem
— odpowiada — ale oglądałem na
własne ocy Morskie Sklepienie i inse
dziwi.

— Ale godojcie, cy tom ładnie i
ślicie, jak pedają.

— A toć, jegodeńki, byłoby tom
straśnie ślicie, tylo coby nie te gó-

i przysłówiska

O chłopie nie umiejącym
obchodzić się z bronią palną

Schowaj ruśnicę, bierz się za kłonicę.

Próba zręczności

Kiedys chybitny, to zlap lisa za ogon.

O polowaniu bez strzelby

Jak Pan Bóg dopuści, to i z kija
puści.

Na bezrybiu

Dobra i wrona, jak nie ma kapłona.

Skala wartości

Fuzji i żony — nikomu się nie
pożycza

(z materiałów A. Chętnika)

opinia ciągle aktualna

Rzucając okiem na zarys historii
Łomży, widzi się rzeczy charaktery-
styczne dla dziejów Polski w ogóle.
W pewnych odstępach, zazwyczaj
pod naporem okoliczności zewnętrz-
nych, powtarzające się przykłady bo-
haterstwa i całkowitego poświęce-
nia dla sprawy ogólnej, które jednak
nie tylko nie zapewniły państwu po-
tęgi, ale nawet pozwoliły na zupeł-
ny jego upadek. Przyczyny szukać
należy we właściwej polskiemu cha-
rakterowi niezdolności do małych, z
dobrej woli i rozumu płynących o-
fiar — bohaterstwa codziennego dnia,
w konsekwencji bowiem tej wady
nie zdołano do walki z wrogiem
wciągnąć szerokich mas, ta zaś oko-
liczność stawała powodem zbroj-
nego odruchu pod dużym znakiem
zapytania, lub wręcz je przesądzała.

Niestety, doświadczenie nie na-
uczyło nas niczego. Dziś popełnia się
te same błędy, tylko, że obecnie mo-
gą one mieć bardziej groźne i szyb-
sze następstwa w postaci powikłań
socjalnych.

(Piotr Kowalewski w: „Akademic-
kie Koło Łomżan 1916-1931” War-
szawa 1931 r., s. 23)

Teksty zebrał:

ADAM DOBRONSKI

Łomżynianina

Łomżynianina

Łomżynianina